Nr. 28. Poznań, dnia 15 Lipca 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Treść nr. 28-go.

Dział polityczny: Hakatyści. — Wystawa przemysłowa w Kościanie. — Odezwa. — Z zaboru rosyjskiego. — Korespondencya z Galicyi. — Przegląd prasy. — Tydzień polityczny. — Ruch w Towarzystwach. — Wiadomości. — Od Redakcyi.
Felieton: Finis Poloniae.
Dział powieściowy: O własnych siłach. (Ciąg dalszy). — Nim wzejdzie dzień. (Ciąg dalszy). — Dla milionów. (Ciąg dalszy).
Dział illustrowany: Rocznica Grunwaldu (Wspomnienie historyczne). — Obrona Częstochowy (Dokończenie). — Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą. Przyczynek do historyi południowego Pomorza. (Ciąg dalszy). — Marsz Sokoła Warszawskiego (Wiersz). — Zlot VII i X Związku Tow. gimn. sokolich w Holandyi. — Zwierzęta przeszłości. (Ciąg dalszy). — † Albert Sorel. — Pożar kościoła św. Michała w Hamburgu. — Walne zebranie organistów w Inowrocławiu. — Nasza ofiarność. — Nekrologia. — Wiadomości literackie i artystyczne. — Treść pism. — Dział szaradowy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dział kobiecy. — Rozmaitości. — Humorystyka. — Ogłoszenia.
Illustracye: albumowa: Pamiątka Zlotu Okręgu VII i X Nadreńskiego i Nadr.-Westfalskiego Sokołów polskich w państwie niem., odbytego dnia 17-go czerwca 1906 r. w Winterswijk w Holandyi — Władysław Jagiełło. — Rycerz krzyżacki. — Dwaj posłowie krzyżaccy przynoszą Jagielle dwa miecze. — Plan bitwy pod Grunwaldem. — Zamek krzyżacki w Malborgu. — Pokój przeora O. Paulina, ks. Rejmana w klasztorze jasnogórskim — Pomnik ks. Kordeckiego w Częstochowie. — Ze Zlotu Okręgów VII i X Sokołów polskich. — Pożar kościoła św. Michała w Hamburgu dnia 3-go b. m.

Hakatyści.

II.

Hakatyści — hakata!

. . . .

Te słowa społeczeństwo nasze w różnych codziennie powtarza odmianach. Dziwnym zbiegiem okoliczności zawierają one określenie „kat" — „kaci", jakoby brzmienie samo wskazywać miało hakatyzmu dążność i cel.

Nie dziw więc, że najulubieńszym ich wyrazem to owo „ausrotten", to pragnienie zniszczenia polskości.

Na czem to dążenie polega?

. . . .

„Posener Tageblatt", pismo wyrażające od czasu do czasu poglądy hakatystów — hakatyzm tak określa:

„Jestto dążenie do nadania niemczyźnie ponownie tak silnej pozycyi we wschodnich dzielnicach, ażeby przez to samo niemiecki charakter „kresów wschodnich" uwydatniał się dość dobitnie i jasno tak, że Polacy przestaną zupełnie wierzyć w to, że ich polityczno-narodowe dążenia kiedykolwiek się ziszczą!

Określenie to hakatyzmu dosłownie wyjęte z „Pos. Tagebl." — a więc wiarogodne. Nie jest ono jednak w tej formie zupełnie zrozumiałe.

Musimy je więc choć w paru słowach objaśnić.

. . . .

Hakatyzm chce, ażeby dzielnice polskie nosiły na sobie te same cechy narodowości niemieckiej, jak n. p. Saksonia, Hanover, Westfalia, Nadrenia itd.

Starają się w tym celu nadawać polskim nazwom — niemieckie, polskie imiona do ksiąg policyjnych wpisywać — po niemiecku, żeńskie nazwiska na „ska" i „cka" przemieniać na — „sky" — „cky".

Ma więc być wszystko na zewnątrz po niemiecku. Wtenczas „kresy wschodnie" będą — rzeczywiście niemieckie.

Czy tak?...

My bezwarunkowo w obronie nazw polskich, imion polskich, nazwisk żeńskich ustawać nie możemy.

Ale — przypuśćmy, że istotnie za pomocą prawa wyjątkowego — a to przecież w Prusiech nic nowego — od razu zniknie reszta starych polskich nazw, nie wolno będzie dzieci chrzcić imionami polskiemi, kobietom nada się niemiecką końcówkę do nazwisk, to czy dla tego my — Niemcami, a kraj nasz stanie się — niemieckim?

Poznań Niemcy od dawna nazywają „Posen". Pomimo tego przybywający do Poznania obcokrajowcy stwierdzają bez ogródki:

„Poznań jest i Poznań pozostanie polskim!"

Dowodzi to, że nazwy niemieckie pruskiem prawem nam narzucone nietylko nas, ale miast i wsi naszych — niemieckiemi nie zrobią.

. . . .

Dążności beznadziejne?!

Hakatyści powiadają, że Polacy chcą się oderwać od państwa pruskiego — i rozumują dalej tak:

„Jeżeli Polacy się oderwią od państwa pruskiego, upadną Prusy, upadnie i Rzesza niemiecka".

Hakatyści jednak nigdy nie stawiają sobie pytania: czy Prusy i Rzesza niemiecka upaść może bez przyczynienia się Polaków?

A przecież pytanie to polityczne może nawet bliższe jest. Toć wiadomo, że południowe państwa niemieckie do związku z Prusami, nazwanego Rzeszą niemiecką, przystąpiły li tylko pod grozą nacisku i przewagi Prus.

Czemużby więc te właśnie państewka, chcąc pozbyć się niewygodnej sobie przewagi Prus, nie miały rozerwać Rzeszy i przyczynić się do upadku Prus?

A Francya, a Anglia, a tylu innych „przyjaciół politycznych" Rzeszy i Prus?...

Nie — tego niebezpieczeństwa hakatyści nie widzą. Oni tylko nas widzą, tylko Polacy mogą rozbić Rzeszę, mogą zniszczyć Prusy.

Czemu to?

Gdyby hakatyści tego „fortelu wojennego" przeciwko Polakom nie używali, nie mieliby powodu urządzać na nas „patryotycznej naganki", nie mogliby przeprowadzać praw wyjątkowych.

Więc jest to fortel wojenny, o którym trudno powiedzieć, czy hakatyści choć w niego wierzą, ale który działa na społeczeństwo niemieckie skutecznie, t. j. usposabia je wrogo do nas, a tego pragną hakatyści...

. . . .

Jak oni tego fortelu używają?

Powiadają, że „Polacy są wrogami państwa pruskiego, bo nie czynią z dobrej woli nic dla jego „utrzymania i powiększenia; czynią zaledwie to, do czego ich państwo zmusić może".

Mają tutaj hakatyści bez wątpienia

na myśli — płacenie podatków i dawanie rekruta.

Ale tego hakatystom nie dość. — Chcieliby oni, ażeby Polacy na równi z nimi śpiewali pochwalne hymny na cześć — faterlandu, na cześć cesarza, na cześć Prus, Rzeszy, wojska, floty...

My niewdzięcznicy!... Chcemy mieć własną ojczyznę, obok cnót widzimy i wady cesarza, a czci Prus ani Rzeszy śpiewać się wzbraniamy, wiedząc, że na to nie zasługują. A co do floty i wojska zachwyt (?) nasz tamuje śruba podatkowa i znęcanie się nad rekrutem polskim.

Ale przecież nie my sami to wszystko widzimy. Widzą to różne partye niemieckie wolnomyślne, socyaliści — dla czego my jedynie jesteśmy mianowani zdrajcami?

Bo jesteśmy Polakami!

. . . .

Dumni jesteśmy z tego.

. . . .

Nie zaprzeczą hakatyści, że Wielkopolska, Prusy Królewskie, Śląsk, to dawne ziemie polskie, nie zaprzeczą, że Prusy książęce (Wschodnie), to dawniejsze lenno polskie.

Stąd wniosek jasny, że, kto je dziś posiada, musiał je kiedyś zabrać Polakom.

Tak też było. Lata 1772 — 1793 — 1795 — 1815 — same mówią za siebie.

Stąd wniosek jasny: że my Polacy do tych ziem posiadamy dawniejsze prawo. A im prawo jest dawniejsze — wiadomo — tem większe ma ono znaczenie.

Jeżeli więc hakatyści roszczą sobie do tych dawnych, polskich ziem jakiekolwiek prawo, to historya nazwie to rabunkiem, gwałtem popełnionym na cudzej własności.

. . . .

Hakatyści, ażeby obrazu ich dopełnić, twierdzą, że Polska dawna nie posiadała kultury, że dziś my stoimy wyżej pod względem kultury od pradziadów. A że tak jest, to ma być zasługa przyłączenia nas do Prus.

Zdaje się więc, jakoby rozbiór Polski miał dla nas być dobrodziejstwem.

A przecież — ziemie polskie przez Prusy zabrane, to nie były puszcze i lasy dziewicze; lud w nich nie chodził dziko.

Przeciwnie, to były ziemie żyzne, przez lud rojny uprawiane, bogate w miasta handlem i rzemiosłem się trudniące.

Były to więc ziemie o wysokiej, europejskiej kulturze, ziemie łakome, tem łakomsze, że zdobycz ich nie wymagała ofiar żadnych.

Potrzeba tylko było pokazać Europie i potomności wytarte czoło, nie rumieniące się wstydem przed sądem świata, gotowe z cynizmem odeprzeć potępienie i przekleństwo.

Czy — jeżeli rozbiór Polski wszystko, co uczciwsze i historya potępiły — my Polacy mamy go błogosławić?

Tego nie uczynimy.

. . . .

Tacy oto są hakatyści. By całe społeczeństwo niemieckie przeciwko nam napędzić, używają fortelu, że robią z nas wrogów Rzeszy i Prus — nie zapominają jednak, wystawiać siebie, Prus i Rzeszy jako naszych „dobroczyńców".

Co o tem myślicie, kochani Czytelnicy, czy mógłby to zrobić człowiek uczciwy?...

Wystawa przemysłowa w Kościanie.

II.

Miała więc, jak z uwag w ostatnim numerze wynika, wystawa kościańska być wystawą w całem tego słowa znaczeniu *przemysłową* — to znaczy: wystawiać mieli *przemysłowcy i rzemieślnicy*, wystawiane przez nich wyroby miały być *dziełem ich własnych rąk.*

Czy kościańska wystawa odpowiedziała w zupełności tej pierwszej zasadzie?

Na pytanie to, odpowie nam spis wystawców, który dla zupełności opisu tutaj podajemy:

Wystawili:

z szewców: pp. K. Tadeusz, Serdecki i W. Derda — a więc 3 na przeszło pół sta z Kościana;

ze stolarzy: pp. S. Żurkiewicz, Ignaszewski i L. Abt — także 3 na mniej więcej 10;

„Finis Poloniae."

Kiedy Kościuszko, ranny w bitwie pod Maciejowicami, dostał się do niewoli pruskiej, wyrzekł, jak głosi podanie, pamiętne słowa „Finis Poloniae" czyli „Koniec Polski". Czy istotnie Kościuszko słowa te wypowiedział, nie jest dowiedzione, zdania historyków nie są w tej kwestyi zgodne. Jeżeli jednakże wnikniemy w charakter Kościuszki, wielkiego Naczelnika, jeżeli zmierzymy ogrom jego niezłomnej energii, jego hartu ducha, trudno nam będzie uwierzyć, żeby chwila klęski wywołać mogła w duszy bohatera taką rozpacz i taki bezmiar zwątpienia.

Przecież Kościuszko był pierwszym, który w chwili upadku państwa polskiego podniósł hasło walki o wolność narodu, o nic tylko o jego wolność, który zostawił nam w spuściźnie hasło tej walki, która stała się tragedyą naszą dziejową. Człowiek tej miary, co Kościuszko, nie mógł nawet na widok upadku powstania uwierzyć w upadek Polski.

Słowa owe „Finis Poloniae" podniósł dzisiaj jeden z naszych pisarzy, kryjąc się pod pseudonimem „Wiesław Sclavus", i użył ich jako tytułu do najnowszej swej książki. P. Wiesław Sclavus znanym już jest jako autor powieści wysoce aktualnej, p. t. „Ugodowcy", w której trafnie charakteryzuje politykę ugodową. W ostatnim czasie napisał „Królobójców", coś w rodzaju historyi królobójstw w Rosyi — mówię: „coś w rodzaju historyi", bo nie można dzieła tego nazwać historyą, jest to raczej spis bardzo interesujących, lecz niedowiedzionych historycznie faktów, napisany stylem nie naukowym, raczej stylem francuskich romansów kryminalnych. W trzy miesiące później wyszła nowa książka Sclavusa, p. t. „Anarchiści", w której autor daje pewien pogląd na genezę i rozwój anarchizmu, wreszcie przed niedawnym bardzo czasem opuściła prasę najnowsza rzecz: „Finis Poloniae", wydana w Księgarni Polskiej W. Templowicza w Poznaniu.

Na wstępie podaje autor jako motto cytat z „Grobu Agamemnona" Słowackiego:

„Pawiem narodów byłaś i papugą etc... cytat używany tak często, że zejdzie wkrótce do roli tanich liczmanów — cytatów tanich, używanych zawsze, ile razy ktoś kogoś chce zwymyślać. Cytat ten czytamy na karcie tytułowej — a więc oczekujemy jakiejś satyry, albo prawdy gorzkiej.

Czytamy spis rozdziałów; tytuły bardzo interesujące, *zanadto* interesujące n. p.: „Na samobójczej mogile" — „Klątwy niewoli" — „Precz z poezyą", czytelnik zaciekawia się coraz bardziej — i już całą książkę przeczytał jednym tchem — a można ją tak czytać, bo napisana lekko, stylem zajmującym, barwnym, nieraz i kwiecistym. Ale przeczytawszy — doznaje się pewnego rozczarowania — czytelnik nie znalazł w książce tego, co obiecały tytuły. Bo autor poruszył w swej książce najżywotniejsze kwestye, ale z żadnej nie wyciągnął ostatecznych konsekwencyi. Książka robi wrażenie zbioru artykułów, obliczonych na

z blachnierzy: pp. Romanowski i E. May — jedyny przemysł, którego reprezentanci obesłali wystawę w komplecie;

z tokarzy: p. Wł. Ciastowski. Tokarzy w Kościanie Polaków jest tylko 2. Dla czego drugi niczego nie wystawił? A to nawet rajca miejski;

z malarzy: pp. F. Krawczyk i bracia J. J. i M. Wopińscy — stanowią także znaczny procent przedstawicieli swego przemysłu;

z ślusarzy: pp. J. Frąckowiak i Ciemnoczołowski. Pierwszy wystawił maszynkę parową — malutką oczywiście — lecz własnego pomysłu i własnej roboty;

z krawców: pp. W. Kmiećkowiak i F. Kujawa — także 2 tylko na mniej więcej pół setki krawców razem;

z tapicerów: pp. Banaszak i Florkowski;

z piekarzy: p. Wytyk, który zarazem jest cukiernikiem;

z stelmachów: pp. Dalkowski, J. Wypych, Florkowski i Ekert;

z kowali: p. Ant. Tadeusz;

z ogrodników: pp. E. Ścieśnicki i Zygalski.

I tutaj się kończy wystawa tego, co nazywamy rękodziełem, rzemiosłem albo w szerokiem znaczeniu przemysłem.

Reszta wystawców, to kupcy, destylatorzy, agenci — wreszcie amatorzy i amatorki robótek domowych, z tem, co rękodziełem zowiemy, żadnej nie mający styczności.

Dla uzupełnienia obrazu wystawy podajemy i ich nazwiska:

papierosy i cygara — p. Fr. Stein,

okazy różnych likworów — p. L. Rost i fabryka B. Kasprowicza z Gniezna,

towary drogeryjne — p. M. Wyrybkowski,

towary bławatne — p. W. Winiecki,

maszyny rolnicze — pp. M. Plewkiewicz, H. Cegielski A. G. (zast. p. K. Swoboda), J. Rychlewski i St. Bąk.

Wystawił po nadto p. St. Kahl maszynę do szycia jako zastępca jednej z fabryk — i wreszcie młody Stefan Augustyniak naśladownictwa różnych arcydzieł sztuki n. p. ratusz w Poznaniu i kościół N. P. Maryi z Krakowa, klasztor za Gostyniem — w miniaturze.

Robótki kobiece wystawiły panie: F. Bożejewiczowa, Helena Nowicka, Helena Kubowicz, Józefa Szyfter, Siostry z domu św. Zofii, Kazimira Kostrzewa, Marya Pieterek, Marya Całka, Franciszka Nowicka, Irena Szałowska, Kucnerowiczówna, Ant. Koluśniewska, H. Romanowska, Pelagia Wytyk, C. Augustyniakówna, Skrobalska i May.

Nadto — wystawiła *wino owocowe* własnego wyrobu p. Henrykowa Chłapowska z Czerwonejwsi pod Krzywiniem a rodzeństwo Balbina i Władysław Knychały — *roboty klockowe*.

Wystawa robótek kobiecych przedstawiała się bardzo pięknie pomimo pewnego rodzaju jednostajności. Panie kościańskie przeważnie są bardzo praktyczne, wygotowały więc jaśków kilka, poduszeczek, serwetek, ozdobnych ręczników, nakryć na stoły. Wykonanie atoli, wzory i materyał, sposób wykonania wreszcie przy każdym przedmiocie inny — zacierały tę jednostajność jaśków, poduszek, ręczników i t. d.

Uprzedzić musimy w opisie wystawy kościańskiej, to, że wystawa robótek kobiecych i towary kupców i t. d. właśnie urozmaiciły i upiększyły tę wystawę.

Dla czego przemysł sam tego zrobić nie umiał?

Bo, jak nas informowano wiarogodnie na miejscu, zła wola znalazła dostęp nawet do tych kół, które wystawą miały kierować — do zarządu i komisyi Towarzystwa przemysłowego.

N. p. członkowie zarządu i komisyi niczego nie wystawili — dla czego? taki to mieli dawać przykład innym kolegom i niekolegom z zawodu?

Słusznie też „Gazeta Polska" tę złą wolę piętnuje jako „parafiańszczyznę i zacofanie". My jej silniejszego miana dać nie możemy, musimy wyrazić tylko żal z tego powodu, że zupełnie spaczono myśl inicyatorów.

Przystąpmy jednakże do oceny wystawionych przedmiotów. Możemy tutaj wydać tylko sąd ogólnikowy — w szczegóły wdawać się nie będziemy.

Wystawione wyroby własne rzemieślników kościańskich robiły istotnie wrażenie dobre i dawały świadectwo o sumienności wykonania.

Możemy też śmiało powiedzieć, że

---

efekt, a przecież jednak są tam niektóre rzeczy pisane z największą szczerością, bez owego obliczenia, bez pozy. Naprzykład zupełnie słusznem jest stanowisko autora w kwestyi „Naszego socyalizmu".

„Dotąd dopóki świat dzieli się na Francuzów, Niemców, Rosyan, Włochów, Anglików i t. d., dotąd i my najpierw musimy być Polakami, a dalej dopiero możemy dzielić się tak, jak nam się podoba; najpierw musimy *wspólnie dbać o całość dachu nad głową a dopiero* wolno nam myśleć, komu jaki kąt w domu się należy. Dachem jest cel narodowy, a kątami idee socyalne".

Znamiennem jest i zdanie autora, że polski socyalista *powinien być* zarazem i narodowym demokratą, a narodowy demokrata *może nie być* socyalistą. Oczywiście, że na to jedynie zgodzić się można, niemniej i na bardzo słuszne uwagi w artykule „Dzieci czołem narodu", w którym autor z całym sarkazmem piętnuje niemoralne stosunki w narodzie, w którym młodzież, a wreszcie dzieci szkolne, narodowi drogi wskazują, po których iść powinien.

Mowa tu o strajku szkolnym w Królestwie, który wykazał słabość obywatelstwa, a siłę „smarkateryi" sztubackiej, siłę, którą naprożno różne stronnictwa sobie chciały przypisać. „I dopóki ta „smarkaterya" będzie czołem narodu, dopóki naród nie ocknie się.....

Niemniej bardzo wiele prawdy mieści „Lud i ludomanja", dalej: „Watykan i polskość", gdzie autor wytyka nam brak zdecydowania, naszą słabość i niepewność, nasze tchórzostwo wobec unormowania stosunku naszego z Kościołem.

W ogóle zaprzeczyć trudno, że pan „Sclavus" ma duzo racyi, że pisał z wielką dozą szczerości — ale — z drugiej strony pan „Sclavus" nie osięgnął tego, co zamierzał — pan „Sclavus" chciał pisać gorzką prawdę, ale udało mu się to stosunkowo w małej części. Po zatem bowiem przeważa w nim gaduła albo jakiś rodzaj hipochondryka, który z wymyślania stworzył sobie „sztukę dla sztuki."

Bo istotnie pan „Sclavus" pisze wiele prawd znanych, które już przed nim Dmowski i Balicki ujęli o wiele głębiej i bardziej wyczerpująco. O naszem dobrem mniemaniu o sobie, a naszych chlubach itd. są to słabostki, a nawet bardzo poważne wady, ale niema ich tam, gdzie ich szuka autor, który n. p. ma pretensyę do literatury naszej, że, jakkolwiek jest wyrazicielką naszej mocy, nie jest ani wielką, ani taką, „którąby na rynku wszechświatowym wywarła taki wpływ, który jej nasza ambicya przyznaje". Autor zapomina, że literatura nasza nie dlatego jest ignorowaną w Europie, że jest lichą, tylko dlatego, że ogół ludów zachodniej Europy niema potrzeby zapoznawania się z naszym bardzo dla obcych trudnym językiem. Czynią to tylko specyaliści — a dla tych literatura nasza nie jest tak nieznaną, jak się to zdaje p. „Sclavusowi".

wystawione przez rzemieślników w Kościanie wyroby własne śmiało mogłyby współzawodniczyć z wyrobami rzemieślników niemieckich i innych. Szczególnie podnosimy tu i praktyczność i użyteczność wystawionych przedmiotów . Wystawcy tak dalece na te dwa przymioty kładli wagę — że musieliśmy zauważyć pewien brak skłonności do piękna. Wystawione przedmioty rzemieślnicze nie grzeszyły zbytnio ozdobami, jakiemi przedmioty na wystawę się upiększa.

Może to nawet i zaleta wystawionych przedmiotów?

Z wystawy całej na szczególną wzmiankę zasługują — wino owocowe czyli porzecznik p. Chłapowskiej znajdujący się w handlu jako „Rubin“, maszynka zrobiona przez p. Frąckowiaka i klockowa robota Knychałów.

Czy i wiele dworów i gospodarzy wyrabia u nas wina owocowe, nie wiemy. W każdym razie ta gałęź domowego przemysłu zasługuje na uwagę ogólną. Wina owocowe wprawdzie nie zupełnie są pozbawione alkoholu, są jednak o stokroć zdrowsze od ciężkich węgierskich, niemieckich i francuskich tem więcej, że mogą być rozcieńczane wodą, coby tamtym odebrało wszelki smak.

Na „Rubin“ p. H. Chłapowskiej w Czerwonejwsi (Rotdorf) p. Krzywiń zwracamy przeto uwagę.

Uderzyła nas na wystawie *robota klockowa* Knychałów. Klockowa robota jako przemysł domowy, dający utrzymanie wsiom całym i rodzinom kwitnie w Niemczech w górach „kruszcowych“ Istotnie widząc klocki Knychałów w Kościanie uderzyła nas myśl, czyby tego przemysłu nie dało się przenieść i do nas. Nasz lud wiejski mało dziś sieje lnu, rzadko przędzie i robi płótno, bo tańsze kupi w handlu. Czyżby tego dawnego a pięknego zatrudnienia, które wśród gawęd mile spędzać pozwalało długie wieczory zimowe, nie mogła zastąpić robota klockami, wyrób koronek, komż, poduszek i t. p.?

Wreszcie, nie tyle jako wyrób — lecz jako dowód, że Polacy bacznie śledzą postęp przemysłu dzisiejszego — to maszynka p. Frąckowiaka. Pan Fr. w maszynce swojej stworzył wzór ulepszający znacznie maszyny dzisiejsze — parowe — i oszczędzający dużo pary. Nie tłómacząc bliżej różnicy pomiędzy wynalazkiem p. Fr. a staremi maszynami parowe[illegible]znaczamy tylko, że oszczędność pary i spotęgowanie siły polega na skonstruowaniu 2 tłoków w cylindrze zamiast jak dotąd jednego.

Wynalazek ten ocenimy należycie wtenczas, jeżeli uprzytomnimy sobie, że nieomal równocześnie z p. Fr. taki sam wynalazek zrobił Anglik, a uzyskawszy patent, zdobywa dziś majątek.

Pan Frąckowiak niestety wynalazek swój zgłosił do patentu za późno.

Tak, my Polacy mamy — przepraszam za wyrażenie — „pech“.

W każdym razie wynalazek ten dowodzi i o zdolności wynalazcy i o wielkiem zainteresowaniu się ogólnym postępem wszechświatowego przemysłu. Jeżeli nadto dodamy, że p. Frąckowiak wielkich szkól nie przechodził, dyplomów żadnych naukowych nie posiada, to niechaj to hakatystom posłuży za dowód, że przecież Polacy nie są znowu narodem tak zacofanym.

Jaką naukę daje nam wystawa kościańska, przed czem przestrzega, a co zaleca, o tem napiszemy w następnym artykule.

ODEZWA.

Tegoroczny zjazd delegatów polskich Towarzystw robotniczych przyjął między innymi uchwałę, „aby przy pracach żniwnych w miejsce wódki żądać innych napojów niealkoholicznych.“

Dobre to rzuca światło na dążności naszych robotników, skoro sami nabrali przekonania, że ulubione dotychczas w stanie robotniczym napoje upajające są wielce szkodliwe.

Panowie pracodawcy! Jeżeli prostaczkowie zdobyli się na odwagę, aby jawnie potępić to, co dotychczas wielu z nich uważało za jedyną osłodę życia, — społeczeństwo słusznie od was, panowie, domagać się może, abyście te dążności robotników naszych ze wszystkich sił poparli.

W obec rozpoczynających się żniw zanosimy serdeczną prośbę do wszystkich panów pracodawców, aby nie częstowali swych robotników i robotnic wódką lub innemi napojami upajającemi.

Wymaga tego od was, panowie, wzgląd na dobro waszych pracobiorców. Doświadczenie uczy, że codzienne używanie napojów z tak wielką zawartością alkoholu jak wódka i różne wina, któremi się robotników w czasie żniw częstuje, może wyrobić łatwo u niejednego nałóg pijaństwa. Tem bardziej należy się tego obawiać w obec niskiego poziomu oświaty, licznych okazyi do picia, oraz trudności znalezienia godziwej rozrywki po za gościńcem.

Przyznając dalej stwierdzoną już dzisiaj naukowo prawdę, że alkohol nie posiada żadnych właściwości odżywiających, tylko jest narkotykiem i trucizną, nie należy przyczyniać się do jeszcze większego rozpowszechnienia tej trucizny, ku niepowetowanej szkodzie społeczeństwa.

Uczeni tej miary, co prof. Kraepelin, prof. Helenius, prof. Forel, prof. Kassowitz i inni godzą się na to, że regularne używanie choćby małych ilości alkoholu jest niebezpieczniejszem, aniżeli kilkorazowe nadużycie, czyli, jak mówią, przebranie miarki.

Jest to zatem zgubnem złudzeniem, jeśli ktoś sądzi, że częstować wódką i innemi wyskokami wolno, byle nie przebrać miary.

Panowie pracodawcy postąpią sobie szlachetnie i zgodnie z przykazaniem miłości bliźniego, jeżeli zerwą ze zwyczajem dotychczasowym i przestaną w czasie żniw częstować lud nasz alkoholem.

Zresztą nakazuje im to ich własny dobrze zrozumiany interes. Prawda, że robotnik nasz zazwyczaj z radością i wdzięcznością przyjmuje każdy kieliszek wódki. Trzeba mu zatem, — mówią niektórzy panowie pracodawcy — dawać wódkę, a tem chętniej będzie pracował.

Ależ i Chińczyk czuje wdzięczność w sercu ku temu, który go w opium zaopatrzy. Lecz tak jak robotnik chiński nie pokrzepi się paleniem trującego narkotyku, podobnie i nasz robotnik pod wpływem wódki nie będzie lepiej pracował. Pod chwilowem wrażeniem podniecających właściwości alkoholu porwie się raźniej do pracy, aby potem tem bardziej podupaść na siłach. Porobiono w tej sprawie liczne i tak przekonywające próby, że w wojsku coraz więcej ograniczają używanie alkoholu a zwolennicy sportu przy wszelkich zapasach i wyścigach zupełnie go wykluczyli.

Stąd wynika, że pracodawca częstujący ludzi wódką, dla tem większego wyzyskania ich siły roboczej, działa wbrew swym interesom; sprawiając zaś robotnikowi nieoświeconemu pozorną radość, w rzeczywistości wyrządza istotną krzywdę.

Zmieniło się niejedno u nas ku lepszemu; i sprawa tak zw. poczęstnego przedstawia się już dziś korzystniej aniżeli dawniej. Znamy cały szereg dworów, które pokasowały zwyczaj częstowania ludzi wódką w czasie żniw; znamy niejednego pracodawcę, któryby chętnie to samo uczynił. Lecz obawa, aby nie zniechęcić robotnika, o którego tak trudno, a z drugiej strony kłopot, czem zastąpić dotychczasowe poczęstne, wstrzymują niejednego od zbawiennej reformy.

Otóż doświadczenia, jakie w różnych okolicach w tej sprawie poczyniono są następujące: Nie znamy wypadku, aby robotnicy porzucili pracę dla tego, że im odmówiono wódki, skoro otrzymali za to inną nagrodę, bądź w naturaliach, bądź w gotówce. Zazwyczaj otrzymują 10 fen. dziennie. (Poleca się wypłacać pieniądze dopiero po ukończeniu żniw.)

Jeżli w pierwszym roku, w którym zaprowadzono reformę, było nieco szemrania, to na drugi rok wszyscy chętnie zastósowali się do nowego porządku.

Po za tem *mają ludzie pracujący wśród największego skwaru oczywiście prawo, aby każdego czasu daną im była możność ugaszenia swego pragnienia.*

Różnych tu próbowano sposobów. Najwięcej poleca się może dawać wodę z cukrem i odrobinką octu. — Woda pozostaje najdłużej chłodną w beczkach zakopanych w ziemi i przykrytych gałęziami. — Niektórzy pracodawcy dostarczają kwaśnego mleka, maślanki lub czarnej kawy. Każdy przyzna, że zastósowanie jednego z powyższych sposobów nie będzie sprawiało zbytnich trudności.

W świetle nowoczesnego ruchu antialkoholicznego przedstawia się tak zw. poczęstne w czasie żniw lub przy innych okazyach jako rażąca przestarzałość. Im rychlej ten zwyczaj usuniętym zostanie, tem lepiej dla społeczeństwa.

Niżej podpisane organizacye wyrażają niepłonną nadzieję, że panowie pracodawcy zechcą uznać słuszność przytoczonych powyżej wywodów i nie będą nadal popierać zwyczajów, które są niejako ogniwem owych kajdan społecznych, zwanych alkoholizmem.

„Wyzwolenie,“
towarzystwo zupełnej wstrzemięźliwości od napojów alkoholicznych.
z p. *Dr. Gantkowski*,
przewodniczący.

Związek księży abstynentów.
z p. *Ks. Niesiołowski*,
przewodniczący.

Z zaboru rosyjskiego.

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Warszawa, 10 lipca 1906.

Dopiero teraz, gdy rozluźniają się nieco krępujące nas więzy, wychodzi na jaw, ile energii, zapału i zadatków życia posiada społeczeństwo polskie z rosyjskiego zaboru. Długoletnia niewola nie zabiła w narodzie ni ducha, ni sił życiowych. Z godną podziwu energią społeczeństwo spieszy korzystać z tych praw, jakie wymogło na rządzie i obejmuje powstające nowe posterunki pracy społeczno-narodowej. Wieść o zlegalizowaniu polskiej *Macierzy szkolnej* radosnem echem rozeszła się po kraju całym, zakrzątnięto się żywo do zakładania miejscowych kół Macierzy w Warszawie, po miastach gubernialnych, powiatowych, a nawet w drobnych osadach. W najkrótszym czasie organizacya Macierzy dotrze do najodleglejszych zakątków kraju; dość rzec, że na ogólne zebranie Macierzy w Warszawie stawiło się 77-ciu przedstawicieli tyluż kół Macierzy w kraju. Ta wielka liczba kół tak niedawno istniejącej Macierzy świadczy o ogromnym zapale, z jakim się społeczeństwo rzuciło do pracy na zaniedbanej niwie.

W Warszawie również odbyło się z okazałością wielką otwarcie pierwszej w zaborze rosyjskim Sokolni. Ta uroczystość licznych ściągnęła gości zarówno z prowincyi, jak i z za kordonu, a odczytane powitalne telegramy Sokołów z Poznania, Krakowa i Lwowa raz jeszcze stwierdziły łączność wszystkich trzech dzielnic Rzeczypospolitej Polskiej. W najkrótszym czasie powstaje u nas podobna do Waszej organizacya kółek rolniczych, z główną siedzibą w Warszawie, zawiązują się nowe stowarzyszenia i związki zawodowe; do liczby już istniejących przybywa „polski związek zawodowy robotników przemysłu żelaznego“ z ustawą, zakreślającą związkowi nader szerokie pole działania w kierunku poprawy materyalnych i moralnych warunków bytu robotników.

A równolegle z tem wszystkiem prowadzoną jest nadal praca stronnictwa demokratyczno-narodowego nad ludem włościańskim i robotniczym, praca, do dziś dnia jeszcze tajna lub pół-tajna, polegająca na uświadamianiu ludu, podnoszeniu jego poziomu moralnego i ekonomicznego, i zaprawianiu go do życia politycznego. Samo stronnictwo DN, z chwilą znacznego bardzo zwiększenia się swoich szeregów, wprowadza obecnie do organizacyi dużo zmian i ulepszeń, a teren swej działalności w kraju rozszerza zarówno na Sokoła, jak i na Macierz Szkolną. Oba te towarzystwa, z natury rzeczy bezpartyjne, ulegają jednak wpływom DN z tej prostej przyczyny, że DN się składa z najczynniejszych i najdzielniejszych w narodzie jednostek, zaprawionych już dawno w pracy obywatelskiej, i przez to obejmujących licznie otwierające się nowe jej placówki.

Łatwo przewidzieć, jakie ożywienie zapanuje w kraju po zniesieniu stanu wojennego, który, acz w złagodzonej formie, jest poważnym hamulcem życia społecznego i ekonomicznego i najważniejszym powodem szerzącego się bandytyzmu i rozbojów. Bardzo na czasie jest interpelacya Koła Polskiego, wniesiona w Izbie w sprawie bezprawnego zaprowadzenia i bezprawnego utrzymywania w Królestwie stanu wojennego. Interpelacya dowodzi, że stan wojenny jest ciężkiem jarzmem dla ludności kraju, a zgoła nie zapobiega ani rozbojom, ani zamachom rewolucyjnym — raczej je wywołuje. Wszak program zbiorowy rządowych sklepów monopolowych w Warszawie zorganizowanym został przez P P S właśnie w celu zadokumentowania bezcelowości tego stanu, a napady na posterunki policyjno-wojskowe i urzędników nigdy nie były tak liczne, jak właśnie teraz.

Działalność terorystyczna partyi rewolucyjnych i masowe zabójstwa żandarmów i policyantów rzuciły tak wielki popłoch na władzę, że w dniu 5-go b. m. wycofano zupełnie z ulic Warszawy posterunki wojskowe i policyjne, a rewirowi i policyanci wnoszą tłumnie podania o dymisyę. Wśród obywateli Warszawy powstał zamiar starać się o pozwolenie zorganizowania milicyi obywatelskiej, mającej czuwać nad bezpieczeństwem publicznem. Nie ulega wątpliwości najmniejszej, że oddana w nasze ręce Warszawa zapomniałaby wkrótce o bandytyzmie i rozbojach, jakie ją dzisiaj trapią epidemicznie, lecz jest wątpliwem, czy władze rosyjskie zechcą się zgodzić na takie uszczuplenie swych wpływów.

Sarmata.

Korespondencya z Galicyi

(Własna korespondencya „Pracy“.)

Lwów, 9 lipca.

(Zjazdy: Rejowski, Towarzystwa Kółek rolniczych, „Ligi pomocy przemysłowej“. — Odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego. — Zlot sokołów w Przemyślu).

Ubiegły tydzień obfity był w zjazdy i uroczystości. W Krakowie polska nauka odprawiała uroczyste a poważne zebrania z powodu jubileuszu Mikołaja Reja; w Jarosławiu obradowało najpoważniejsze towarzystwo samopomocy ekonomicznej towarzystwa kółek rolniczych; we Lwowie odsłonięto pomnik Bartosza Głowackiego postawiony staraniem patryotycznego mieszczaństwa lwowskiego, a równocześnie przez dwa dni obradowała „Liga pomocy przemysłowej“, towarzystwo łączące konsumentów celem popierania [illegible] przemysłu i pośredniczące [illegible] mi a wytworcami; w Przemyślu z[illegible] był się zlot sokołów czwartego [illegible] sokolskiego.

Życie więc nasze narodowe i społeczne żywem bije tętnem.

Opis mój rozpocznę od najpoważniejszego zjazdu polskich uczonych w Krakowie z powodu uroczystości jubileuszowych ku uczczeniu Mikołaja Reja z Nagłowic. Tamtego roku minęło 400 lat jak się urodził ten pierwszy pisarz polski, piszący po polsku i piszący o wadach i przymiotach obywatela polskiego. Zjazd był zapowiedziany jeszcze na rok przeszły, ale go odroczono z powodu wypadków w Królestwie.

Zjazd na odroczeniu tem wiele zyskał, bo uczeni nasi jak prof. Brückner,

Chlebowski, Chrzanowski, Nehring i inni zdołali przez ten czas głębiej zbadać postać Reja i jego znaczenie dla rozwoju naszej literatury. Nadto chwila obecna pozwoliła licznym naszym pracownikom na polu nauki wziąć udział w zjeździe osobiście.

Po omówieniu dorobku literatury naszej w wieku Rejowskim, zajął się zjazd dwoma doniosłemi sprawami: Prof. Brückner poruszył mianowicie sprawę ustalenia pisowni polskiej, przesyłając zjazdowi — sam nie był obecny — gotowy projekt. Radzono nad nim prawie cały dzień, a wynrk tych obrad przekazano akademii umiejętności w Krakowie do zadecydowania. Może nam to przyniesie ułatwienia w pisowni naszej, która choć nie zawikłana, a jednak nie jest jednolita.

Prof. *Estreicher* poruszył zamierzone wydawnictwo „Naukowej encyklopedyi polskiej''. Wydawnictwa tego podjąć się ma akademia umiejętności. Składać się będzie ta praca z mniej więcej 20 tomów ilustrowanych, opatrzonych mapami i tablicami, a obejmować ma naukowe życie polskie we wszystkich dziedzinach od czasów najdawniejszych aż do teraz. W roku 1907 ma wyjść pierwszy zeszyt. Książka taka dawno już była potrzebna, bo podobne książki niemieckie przedstawiały niemal każdą rzecz polską błędnie i dla nas niekorzystnie.

Kółka rolnicze, które u Was pod kierownictwem nieodżałowanej pamięci ś. p. patrona Jackowskiego tak potężnie się rozwinęły, stanowią i u nas bardzo poważne organizacye. Istnieją już lat 24. Początkowo rozwijały się bardzo wolno. Ludność wiejska stojąca na dość niskim poziomie oświaty nie zrozumiała ich znaczenia. W miarę jednak jak rośnie uświadomienie, postępuje i rozrost kółek. W samym roku 1905 przybyło kółkom 3000 członków, a 160 kółek.

Kółka zorganizowane są w ten sposób, że istnieją zarządy powiatowe kontrolujące pojedyńcze kółka, utrzymujące składy powiatowe dla sklepików i pośredniczące w sprowadzaniu nasion, maszyn i t. p. Na czele wszystkich kółek stoi zarząd główny wybierany na zjeździe delegatów na lat 3.

Z końcem roku 1905 było 1189 kółek i 52 929 członków. Przeszło piąta część gmin kraju należy do tej organizacyi, która coraz więcej się skupia i podnosi. Prowadzi ona prócz pośrednictwa w nabywaniu artykułów gospodarczych dosyć się rozszerzające doświadczenia z nowemi gatunkami zboża, nawozów i t. p. Doświadczenia te robią za wskazówkami instruktorów sami włościanie.

Sklepiki kółek rolniczych gęstą siecią objęły kraj. Wiele kółek powstaje jedynie dla założenia sklepiku, tak samo wiele ogranicza swoją działalność do prowadzenia sklepiku. Dzieje się to częściowo z powodu nieznajomości właściwych zadań kółek, a częściowo w celu stawienia zapory żydowstwu, które handel i kramarstwo opanowywało dotąd niepodzielnie. Rusini prowadzą akcyę tę odrębnie za pomocą „narodowych torhowli'' (ludowe sklepy). Żydzi wręcz nienawidzą kółka nasze za to, że bronią włościan. Skutek jest zaś ten, że żydzi coraz liczniej zwracają się do uprawy ziemi. We wschodniej części kraju główny kontyngent dzierżawców folwarcznych stanowią żydzi. Służbę po tych folwarkach mają żydowską i prywatną, świetnie zaopatrzoną szkołą rolniczą pod Kołomyją.

Kółka rolnicze prowadzą i akcyę oświatową przez zakładanie równocześnie czytelni. Czynność ta jednak jest słabą, a może zbyteczną, co wytłómaczyć łatwo wytężoną pracą Tow. szkoły ludowej. Kółka organizują kasy Reiffeisena, a w ostatnim czasie także ochotnicze straże pożarne. Działalność ta powinna wydać bardzo dobre owoce, zwłaszcza w obec tak licznych u nas pożarów po wsiach. Budżet towarzystwa, które ma swoje własne pisma, wynosił około 170 tysięcy koron (= 142 tysiące marek).

Tegoroczny zjazd zgromadził 123 delegatów kółek.

Uchwalono szereg wniosków w celu uzyskania znaczniejszej pomocy od kraju. Towarzystwa gospodarcze założone dla wielkich właścicieli mają wielkie zasiłki rządowe i krajowe, a kółka mające nasze małe rolnictwo postawić na nogi, traktowane są po macoszemu. Dużo radzono także nad zorganizowaniem ubocznych zajęć gospodarskich, mówiono n. p., że chów drobiu i sadownictwo przynieść mogą nie małe korzyści gospodarzowi skazanemu dziś przeważnie na dochód, jaki mu ziemia przynosi. Obrady tegoroczne miały przebieg bardzo poważny i spokojny.

Hasło uprzemysłowienia kraju zaniedbywanego z umysłu przez rząd centralny wywołało potrzebę stworzenia szeregu stowarzyszeń, któreby hasło to wprowadzały w czyn. Jednem z tych stowarzyszeń jest „liga pomocy przemysłowej.'' Członkowie mają obowiązek popierać czynnie i drogą agitacyjną wytwórczość swojską.

Towarzystwo istnieje lat 3. Urządza wystawy ruchome krajowych wyrobów i obwozi je po miastach i miasteczkach, wprowadziło „markę ochronną'' dla tych wyrobów, bo przemysł niemiecki i czeski zaczął się podszywać pod polskie etykiety i sporządziło z wielkim nakładem pracy i kosztów wielki skorowidz przemysłowy. Nadto organizuje wiece przemysłowe. Towarzystwo, a zwłaszcza jego „marka ochronna'' spotkała się z nienawistną walką ze strony fabrykantów obcych zwłaszcza niemieckich.

„Liga'' jest wprawdzie jeszcze młoda, ale ruchliwa i czynna, rozwija jednak swą akcyę jeszcze nie dość spokojnie i równo. Głównym powodem tego jest apatya społeczeństwa nie rozumiejącego własnego interesu. Brak wreszcie i dostatecznych funduszy. To też cały zjazd liczący do 100 uczestników wypełniły obrady nad organizacyą Ligi i nad zapewnieniem jej koniecznej pomocy społeczeństwa.

W niedzielę przeżyliśmy we Lwowie dzień uroczysty odsłonięcia pomnika Bartoszowi Głowackiemu. Pomnik ten postawiło mieszczaństwo lwowskie na pięknem wzgórzu Łyczakowskiem dominującem nad stałem boiskiem sokolem, zkąd przepiękny widok roztacza się na całe miasto.

Z powodu sloty uroczystość nie zgromadziła tylu uczestników jakby się spodziewać było należało, a jednak zjechało samych włościan do 1000. Byli od Krakowa i Sącza, Jarosławia i Przemyśla, Stryja, Samborza i Stanisławowa i byli najmilsi i najdrożsi, trzej delegaci od Racławic.

Przyjechali jako wysłannicy narodowo uświadomionych i zorganizowanych w obozie demokratyczno narodowym chłopów polskich i przywieźli ziemię z mogiły wspólnej poległych w Racławicach braci. Ziemia ujęta była w bardzo gustowną puszkę.

Serce rosło na widok tego ludu, który do niedawna był jeszcze dalekim od zrozumienia potrzeb narodowych, a który dziś daje setki uświadomionych i wykształconych obywateli polskich. Przyszłość nasza staje się coraz jaśniejszą, coraz widniej przeziera z poza tajemniczych zasłon jutrzenka swobody, bo coraz pewniejszym staje się fakt, że miejsce dawnych stu tysięcy wybranych zajmują świeże milionowe zastępy równych w prawach i obowiązkach obywateli.

W *Przemyślu* równocześnie odbył się zlot IV. (przemyskiego) okręgu sokołów. Do ćwiczeń stanęło 300 druhów i 60 sokolic. Serdecznie witano tutaj kilku gości z Warszawy. Nastrój panował wśród uczestników zlotu serdeczny i podniosły. *Bes.*

Przegląd prasy.

Germanizacya przez kościół — oto niebezpieczeństwo, z którem społeczeństwu naszemu liczyć się potrzeba co raz poważniej. Prasa nasza na niebezpieczeństwo to nie omieszkała i nie omieszka zwrócić bacznej uwagi, kiedykolwiek tego zajdzie potrzeba.

Większe aniżeli u nas, bardziej groźne jest to niebezpieczeństwo braciom naszym w Prusach Zach. gdzie liczba Polaków i Niemców się waży.

To też pisma tamtejsze, a mianowicie *„Gaz. Gdańska“*, *„Grudziądzka“* i *„Pielgrzym“* energicznie przeciwko zakusom germanizacyjnym przez kościół występują i uświadamiają pod tym względem lud.

„Pielgrzym“ umieścił w sprawie tej w jednym z ostatnich numerów obszerny artykuł, w którym nawołuje lud do *samoobrony* przed niemczyzną w kościele.

„Lud musi się sam bronić, bo go władza duchowna nie broni“ — powiada — i pisze dalej tak: „Faktem jest, że ta władza z *własnego* popędu w obronie praw ludu nie staje, jeżeli tenże sam o swe prawa się nie dopomina, tak dalece, że utrwaliło się pomiędzy Polakami przekonanie, że jaki ksiądz w parafii czysto polskiej naraz skasował wszystkie kazania i nauki polskie a zaprowadził niemieckie, władza kościelna nie pociągnęłaby go do odpowiedzialności, gdyby parafianie sami przeciw temu nie zaprotestowali. A jakim sposobem sąd taki — może nie zupełnie usprawiedliwiony — pomiędzy Polakami mógł się utworzyć, łatwo sobie wytłomaczyć, gdy się patrzy, jak to *bezkarnie i samowolnie* niektórzy księża *język polski z kościoła rugują.*“

Dalej pisze tak: „Ale dzieją się w dyecezyi naszej rzeczy, których trudności, stosunków wytłomaczyć nie można, lecz w których lud polski widzi wprost *niechęć* do języka i praw swoich. Bo cóż sądzić o tem, jeżeli parafie, mające proboszczów niemieckich, na których ciągle skargi dochodzą, iż w kościele niemczą lub że językiem polskim słabo lub wcale nie władają, otrzymują od lat kilku tylko wikarych niemieckich, prawie jeszcze gorzej dla języka polskiego usposobionych?“

„Pielgrzym“ w końcu nawołuje lud do urządzania wieców i wnoszenia protestów przeciwko tej germanizacyi w kościele. . . . .

. . . .

Głos p. *T. Błocha* z Koszyc nawołujący braci naszych na obczyźnie, by wracali do kraju, by nie pozostawali we Westfalii i Nadrenii, by nie narażali siebie i przyszłych pokoleń na niebezpieczeństwo germanizacyi — znalazł oddźwięk w całej naszej prasie. Wszystkie pisma bez wyjątku przyjęły go sympatycznie i poleciły uwadze swym Czytelnikom.

„Dziennik Kujawski“ oprócz materyalnej widzi w powrocie rodaków naszych i wielkie moralne korzyści. Pisze więc, że

„Polacy z obczyzny byliby tutaj nawet dla nas cennym nabytkiem, bo po większej części są to ludzie o własnych siłach wyrobieni z poczuciem obywatelsko-narodowem i odwagą cywilną, a takich nam, czy to w miastach czy na wsiach potrzeba. Rodacy nasi idąc na obczyznę, zawsze pamiętać powinni o ojczyźnie. Całą ich dążnością powinno być obok utrzymania swej narodowości i utrwalenia jej w dzieciach swoich, zbieranie grosza do grosza, *ażeby się okupić w ziemiach polskich lub założyć tutaj przedsiębiorstwa, a wtenczas staną się pożytkiem i chlubą dla kraju*“.

Pożytkiem i chlubą dla kraju — ale i w kraju.

. . . .

W *Krakowie* odbywał się w ubiegłym tygodniu zjazd uczonych polskich ku uczczeniu 400-nej rocznicy urodzin pierwszego poety polskiego Mikołaja Reja.

Na zjazd ten z zaboru pruskiego pojechało tylko 2 przedstawicieli inteligencyi, p. Dr. Z. Celichowski z Kurnika i ks. Kujot z Prus Zach. W Krakowie mocno kiwano głowami z powodu tej obojętności Wielkopolan. *„Dziennik Berliński“* zdziwieniu temu przyznaje racyę i powiada, że

„na trochę liczniejszą reprezentacyę należało się zdobyć, bo na co n. p. w Poznaniu istnieje pod szumną nazwą Towarzystwo Przyjaciół Nauk, skoro ono pomija tak ważne zjazdy polskich uczonych? Przecież zalicza ono do grona swego uczonych tej miary jak ks. biskup Likowski, ks. kanonik Warmiński, dr. Bolesław Erzepki, prezes wydziału historyczno-literackiego itd. Oczywiście na liczną deputacyę na zjazd taki jak Rejowski *dzisiejsza* Wielkopolska pozwolić sobie nie może, bo wszystko w niej zjada dziennikarstwo i polityka, albo system pruski, uniemożliwiający ludziom uczonym pracę w karyerach naukowych“.

Wszystko to bez zaprzeczenia prawda — ale pomimo tego 2 przedstawicieli z zaboru pruskiego na zjeździe mającym tak wielką dla całej Polski doniosłość, to jednak strasznie mało.

. . . .

Na ważną sprawę zwraca uwagę *„Polak“* posła Korfantego. Stwierdza on smutny objaw nieśmiałości wśród braci Górnoślązaków, uwydatniający się w tem, że nie rozmawiają na ulicach głośno między sobą po polsku. Przykro to szczególnie, gdy się zważy, że na G. Śląsku Polaków jest więcej aniżeli Niemców, a pomimo tego głośniej i śmielej rozlega się język niemiecki.

Tak być nie powinno, pisze *„Polak“* i powiada tak dalej, zwracając się do ludu górnośląskiego:

„Mowa polska jest dźwięczną i piękną. Staraj się tylko w niej wydoskonalić. A więc wszędzie i zawsze i gdzie tylko okaże się potrzeba, mów po polsku, *a mów głośno*, to zobaczysz, w jak krótkim czasie zyskasz dobrą i piękną wymowę. — Każ w tym celu dzieciom czytać gazetę głośno, ale zacznij od razu, już tym artykułem zrób początek, albo sam czytaj głośno, aby twej krtani dać sposobność do ćwiczenia się w wymawianiu trudniejszych słów i wyrażeń“.

Słusznie „Polak“ sprawę tę porusza. Nam oprócz tego nadmienić należy (niestety!), że ta lękliwość mówienia głośno po polsku nie tylko na G. Śląsku istnieje, ale tak samo i u nas. I u nas n. p. w Poznaniu po ulicach słychać śmiałą głośną rozmowę — niemiecką, a natomiast zaledwie — polski szept. Tak jak byśmy się lękali zaczepki ze strony wrogiej, jakbyśmy nie mieli odwagi na zaczepkę taką odpowiedzieć.

Słusznie więc uwagi „Polaka“ i do Księstwa i tak samo do Prus Zach. odnosić się mogą.

A zatem: mówmy zawsze nie tylko w domach prywatnie ale i publicznie *śmiało i głośno po polsku!*

. . . .

Uwagi godny artykuł napisał w tych dniach ktoś podpisujący się pseudonimem „Sarmata“ — w *„Postępie“*. Omawia on rozdział Kościoła od państwa zastanawiając się nad tem, jakie szkody rozdział ten przynieść musi państwom katolickim jak Francya, Hiszpania. Dochodzi do wniosku, że rozdział ten w tych krajach na równi z socyalizmem tłumi uczucia patryotyczne.

Szczególniej jednakże obchodzi nas tutaj pytanie: jaki wpływ wywarłby rozdział państwa z kościołem tu u nas i w Niemczech w ogóle. Co do Niemiec powiada „Sarmata“ tak:

„Przecież każdy „wierny“ katolik musi się oburzyć, że katolikami w Prusach pomiatają, wszędzie rej wodzą protestanci, kościół ich ma ochronę, lecz nie miał i nigdy mieć nie będzie takowej w państwie protestancko-luterskiem — kościół katolicki“.

A co do Polaków pisze tak dalej:

„A my zaś Polacy patrzymy, jak za pomocą ambony, spowiednicy i ołtarza wciska się siła teutońsko-germańska do naszych świątyń.

„Korzyści, jakie my byśmy przez rozdział Kościoła od państwa

osiągnęli, byłyby ogromne. N. p. nie protestancko pruski rząd obierałby lub proponował proboszczy, lecz parafianie, a biskupi by ich zatwierdzali. Nie byłyby kapituły nasze Niemcami obsadzone, gdyby obsadzanie ich było w ręku biskupa. Arcybiskupa wybierałaby kapituła, zatwierdzał by bez pozwoleństwa i bez pytania się rządu lutersko-pruskiego, Ojciec św.

„Mielibyśmy kapłana obywatela, albo kapłanów-obywateli, którzy by nie oglądali się za rządem, tylko za ludem, który by ich żywił i utrzymywał. Nie zakazanoby im pracy obywatelskiej ze strony ich władzy, ale tem bardziej zachęcanoby“.

Szczerze przyznać musimy, że jest to trzeźwy pogląd na tak doniosłą sprawę. Oczywiście niema się czego spodziewać, ażeby do rozdziału Kościoła i rządu w państwie pruskiem przyszło. Dla czego? — bo rządowi z centrum, a centrum z rządem jest zbyt dobrze.

Tydzień polityczny.

W Poznaniu od 3 mniej więcej lat istnieje akademia, którą rząd założył w wyraźnym celu germanizacyjnym.

Cel ten akademii nadaje tło polityczne, tem ciekawsze, że po za kulisami rządowemi odbywała się walka — o przyszłość tej instytucyi.

Czy rozszerzyć ją na uniwersytet? Czy pozostawić ją taką, jaka dziś jest?

Hakatyści szybko pojęli, że rozszerzona na wszechnicę akademia przedewszystkiem przyniesie korzyść — Polakom. Stąd hało — nie rozszerzać akademii.

Do przeciwnego obozu należał były rektor akademii prof. Kühnemann. i miał dla swej idei poparcie w kołach ministeryalnych.

Koniec tej walki był taki: prof Kühnemann musiał ustąpić ze stanowiska rektora i opuścił akademię. Hakatyści wpadając oczywiście w drugą ostateczność głoszą, że wogóle nawet takiej, jak dotąd akademii nie chcą.

Oczywiście, że się z czasem uspokoją, i akademia nadal trwać będzie — mamy nadzieję ku pożytkowi młodzieży polskiej, bo jak słyszymy, na wykłady przeważnie uczęszczają Polacy, tacy szczególnie, którzy napewno się nie zniemczą, a którym akademia pomimo swej tendencyi germanizatorskiej — naukowy rozszerzy widnokrąg.

Parlament niemiecki, wiadomo od kilku tygodni, cieszy się wypoczynkiem, w ubiegłym tygodniu rozjechał się także sejm pruski, uradowany, że — prawo szkolne szczęśliwie przeprowadził, i że w ostatniej chwili mógł jeszcze złożyć życzenia swoje rodzinie królewskiej z powodu narodzin syna następcy tronu. Syna tego cała prasa i cały naród niemiecki powitał z ogromną radością, graniczącą z zachwytem. Możeby Niemców nie uradowało tak bardzo — n. p. zwycięstwo nad flotą angielską — jak t. zw. „wesołe zdarzenie“ w domu panującym.

Widocznie, że Niemcy w ogromnej swej większości bardzo są przywiązani do monarchii — do Hohenzollernów.

Tej radości nie zdołały zmącić przykrości, jakie w tym samym czasie do niebywałych wzrosły rozmiarów — z powodu wprowadzenia w życie różnego rodzaju — podatków i to na papierosy, na piwo, od spadków, podwyższenie opłaty pocztowej itd. Dalszy ciąg tych podatków nastąpi. Z dniem 1-go sierpnia n .p . wejdzie w życie stępel od biletów kolejowych.

Największej wrzawy dotąd narobił podatek na piwo i podwyższenie opłat pocztowych. — Przeciwko ostatnim zwróciły się w wielkiej części izby handlowe.

O podatek na piwo w wielu miejscowościach toczy się spór o to: Kto podatek ten ma płacić — browar, restaurator czy pijący. Często browary podatek nałożyły na restauratorów, a ci na publiczność. Tu i owdzie wynikły z tego powodu zabawne strejki. Dotychczasowi goście opuścili restauracye, w których dotąd zwykle bywali, grożąc, że pić przestaną piwo wogóle, jeżeli oni podatek będą mieli płacić. Spór to nie łatwy do rozstrzygnięcia i kto wie, jak się skończy.

Powiedzieliśmy, że sejm pruski udał się po przyjęciu prawa szkolnego, przeciwko któremu nasi posłowie wnieśli ostry protest, na wakacye. Wiadomo, że Prusy królewskie i W. Ks. Poznańskie z pod prawa tego są wykluczone.

O to samo starano się z łona kół nauczycielskich dla Górnego Śląska. — Zdania też w izbie panów były bardzo rozdzielone. Przeważył jednakże wpływ ks. kardynała Koppa, który był przeciwny wykluczeniu Górnego Śląska także z pod tego prawa.

Mamy więc nowe prawo wyjątkowe. Jeżeli ono nie budzi tak głośnego u nas echa, to tem to chyba wytłomaczyć można, że i pod nowem tem prawem u nas w szkole nie przestano by uprawiać polityki germanizacyjnej. — A ta polityka nam daje się więcej we znaki od wszystkich innych niedogodności, które pociąga za sobą liche i wsteczne ustawodawstwo pruskie...

Cesarz niemiecki udał się w podróż morską, odwiedził króla norweskiego Hakona VII, świeżo dopiero ukoronowanego, choć wybór nastąpił jeszcze rok temu.

Przykład cesarza zjednywanie sobie przez podróże, nadając im znaczenie polityczne, przyjaciół znajduje u Niemców coraz więcej naśladowców. Niedawno zjednywali w Anglii sympatye dla Niemiec przedstawiciele Berlina, inżynierowie, reprezentanci izb handlowych — w ślady ich poszła prasa niemiecka, której przedstawicieli witano wszędzie w Anglii z uprzejmością. Bytności tej redaktorów niemieckich w Anglii prasa angielska nie przywięzuje żadnego znaczenia — nawet Niemcy sami przestrzegają, by jej nie przeceniać.

W *Rosyi* — zawsze to samo: bomby bunty i pogromy. Nad tem wszystkiem w postaci bezsilnego anioła pokoju, bogini ładu i porządku roztacza swe skrzydła — Duma. Jej nieustająca krytyka rządu spowodowała pogłoski o ustąpieniu gabinetu Goremykina. Pogłoski te natarczywie się powtarzają — ale dotąd Goremykin jeszcze nie ustąpił.

Ten nieład w Rosyi wywołuje najdziwniejsze kombinacye polityczne. N. p. z faktów, że w Wiedniu był szef niemieckiego sztabu jeneralnego Beck, z odwiedzin cesarza Wilhelma u ces. Franciszka Józefa, i pogłoski, że ces. Wilhelm ma się latem spotkać z carem wysnuwa się wniosek, że Austrya i Prusy układają się o dalszy zabór — ziem polskich kosztem Rosyi.

Czy można wieści tej przypisywać jaki cień prawdopodobieństwa?!

Ludność Królestwa Polskiego — jak pisze lwowskie „Słowo Polskie“ — już jest przez socyalistów i pieniądze pruskie (!?) przygotowana do okupacyi ze strony Prus...

Jeżeliby ewentualność ta ziścić by się miała na prawdę, to nam w każdym razie w walce o polskość przybędzie sporo świeżych szermierzy.

Dla przyszłości Polski nowy podział musi pomimo tego być bez wątpienia bardzo szkodliwy.

Ruch w Towarzystwach.

Poznań: Tutejsze *„Stowarzyszenie Drukarzy Polskich“* urządza w niedzielę dnia 22-go lipca r. b. *zabawę latową* w ogrodzie p. Przybylskiego w St. Domingo. Wstępne wynosi 30 fen. Szanownej Publiczności polecamy znane to Stowarzyszenie łaskawej pamięci tem więcej, że program zabawy jest bardzo ponętny.

W Teglu, maleńkiej wiosce prowincyi brandenburskiej polscy wychodźcy założyli Tow. teatru, muzyki i śpiewu 24. 5. r. b.

Próby się odbywają na sali p. *Michała Bogusławskiego,* restauratora. Orkiestrę prowadzi p. dyrygent Grochowski. Szczęść Boże Rodakom!

Dwaj Wiarusy.

Towarzystwo Przemysłowców w Mieścisku obchodzi dnia 15-go lipca r. b. 10-cioletnią rocznicę założenia. O godzinie 9-tej rano msza św., po mszy uroczyste otwarcie posiedzenia i sprawozdanie z 10-lecia, potem wspólny obiad. Wymarsz o pół do 2-giej po południu do lasku Podlesia kościelnego; dojazd traktem rogozińskim. Program bardzo urozmaicony.

Wszystkich życzliwych Towarzystwu najuprzejmiej zaprasza

Zarząd.

Ostrzeszów. Szanownym Druhom podajemy do wiadomości, iż oddział nasz urządza *w niedzielę dnia 22-go lipca t. r. zabawę latową połączoną z wyścigami,* na którą wszystką brać po kole serdecznie do jaknajliczniejszego udziału zapraszamy.

Czołem!

Zarząd.

Program.

O godzinie 1-szej w południe wyścigi na szosie Ostrzeszów-Ostrów — trzy biegi:

a) Bieg nowicyuszów 2000 mtr. trzy nagrody,

b) Bieg wstępny 2000 mtr. trzy medale,

c) Bieg główny 3000 mtr. trzy medale.

Od powyższych wyścigów są zawodowcy wykluczeni.

O godz. 4-tej corso przez miasto — koła nieubierane.

Od godziny 4-tej do 6-tej koncert w ogrodzie p. Kahlerta.

Podczas tego 2 numera sztucznej jazdy, której ogłoszenie nastąpi w dzień zabawy. Do każdego popisu 3 odznaki.

Od godziny 6-tej począwszy tańce na sali.

Od stowarzyszenia studentów Polaków „Bratnia pomoc“ w Lipsku odbieramy z prośbą o ogłoszenie co następuje:

Zarząd Towarzystwa „Bratnia pomoc“ w Lipsku uprasza o ogłoszenie, iż p. Eryk Budzyński z Eustachowa na Litwie, były członek Towarzystwa, zawezwany przez kasyera tegoż Towarzystwa do zwrotu zaległego długu, uznał za stosowne odesłać zarządowi Towarzystwa owo wezwanie, bez najmniejszych objaśnień, natomiast podarte i pomięte, w nieopłaconym liście.

Rezygnując z wszelkiej satysfakcyi wobec tego rodzaju postępku, notujemy tylko sam fakt.

Za Zarząd Towarzystwa:

W. Służewski, sekretarz.

Wiadomości.

* **„Drukować„** nauczy się nawet nieuk w krótkim czasie — pisze nam szczerze sprawie oddany, znany szeroko profesor pozasłużbowy. Powiada on tak:

Poruszam sprawę aż nader żywotną dla nas — poruszcie wy ją na cały świat przez dane Wam nowoczesne apostolstwo dziennikarsko-tygodnikarskie. Chodzi mi o naukę pisania polskiego.

Dla czegoż — pytam — czasem wcale albo też z trudem zaledwie *przeczytać* można „rękopis“? „Druki“ za to czyta się łatwo. Otóż cała tajemnica tkwi w różnicy pomiędzy „pismem“ a „drukiem“. A teraz ile to dzieci dziś nauczy się w szkole „pisać“? Dobrze żadne... Kto więc w szkole nie nauczył się „pisać“ — ten niech z książki gazety lub z pierwszego lepszego świstka zadrukowanego nauczy się — *„drukować“*. — Myśl ta bardzo jest na czasie. Szanowny autor jej ma tutaj na myśli to, ażeby przez naśladownictwo liter drukowanych nauczyć się pisać drukiem. Przy dobrej chęci i zrozumieniu, że nieuk ten, kto pisać nie umie po polsku, trudno to zbyt nie będzie. Myśl tę polecamy gorąco czytelnikom naszym, zwłaszcza tym, którzy błędnie i niewyraźnie piszą — i spodziewamy się, że błogie ona przyniesie owoce...

* **Odezwa.** Kursor *„Towarzystwa Wyborczego“* obchodzi i będzie obchodził w najbliższym czasie górną część miasta Poznania, a zatem ulice św. Marcina, Piekary, plac Piotra, Wiedeńską, Ogrodową, Ludwiki, Wiktoryi, Rycerską, Wilhelmowską, plac Wilhelmowski, Podgórną, Młyńską, Fryderykowską, św. Wojciecha, Królewską i t. d.

Szanownych członków i wyborców upraszamy, aby chętnie i obficie składki kursorowi wręczali, gdyż kasa wyborcza nie posiada bogatego funduszu, a tymczasem wydatki wyborcze w tym jeszcze roku będą olbrzymie z powodu wyborów miejskich, które jak słyszymy mają się odbyć przy innym podziale miasta, aniżeli się dotąd odbywały. Zatem tegoroczne wybory będą wymagały i sprężystszej agitacyi i większych pieniędzy, jeżeli choć w części chcemy je pomyślnie przeprowadzić.

Kursor przyjmuje także kandydatów na członków Towarzystwa.

Upraszamy raz jeszcze o obfite składkowanie na rzecz wyborów.

Poznań, w lipcu 1906.

Zarząd Tow. Wyborczego w Poznaniu.

Józef Kużaj, prezes. *St. Chociszewski,* sekretarz.

J. Drwęski, M. Kaniasty, A. Teski, radni.

* **Niemczyzna w Kościele** panoszy się coraz więcej. W „Gońcu W.“ czytamy, że w kościele pobernardyńskim w Poznaniu w zeszłą niedzielę podczas pierwszej komunii św. gimnazyastów była *najprzód* niemiecka, a potem dopiero polska przemowa. Dotąd było zawsze odwrotnie, bo Polacy są kilkakroć liczniejsi od Niemców. Nowość tę zaprowadził ks. Koschnik, pochodzący z Prus Zachodnich. Co władza duchowna na to?

* Z Biura „Straży“ otrzymujemy następujący komunikat:

Z powodu wyjazdu przewodniczącego Sekcyi prawno-politycznej jak i bliskich wakacyi sądowych prosimy członków „Straży,“ aby aż do września udawali się do nas tylko z ważnemi sprawami nie cierpiącemi zwłoki, bo przy najlepszej chęci wobec braku sił prawniczych za szybkie załatwienie ręczyć nie możemy.

Biuro „Straży:“

Dr. Tadeusz Jaworski.

P. S. Bardzo pięknie — „Straż“ rozpoczyna po roku działalności — wakacye!?......

* **Wobec rozpoczętych wakacyi** i połączonych z niemi wyjazdów do wód, na letnie mieszkania, w podróż i t. p., będzie z pewnością na czasie przypomnieć wyjeżdżającym o znaczkach na rzecz *Czytelni Ludowych* i *Pomocy Naukowej dla dziewcząt polskich.* Jeśli kogo względy kuracyi, albo inne okoliczności zniewalają szukać zdrowia i wytchnienia w obcych i zagranicznych miejscowościach, tem więcej można od niego wymagać żywego zainteresowania się znaczkami, nakładającemi przecież tak mały podatek na korespondującą publiczność. Zaopatrzyć się w nie można przed wyjazdem w tych składach, gdzie sprzedają telegramy narodowe.

Nie zaniedbajmy więc zabrać z sobą w drogę znaczny zapas znaczków — podczas wakacyi mamy przecież więcej sposobności, aby o nich pamiętać. Każdemu zaś, który z dalekiego świata odbierze w liście, albo na karcie z widokiem zapewnienie przyjaźni i pamięci, miło będzie bez wątpienia ujrzeć także znaczek z pelikanem.

Cegielska Paulina, Koehlerówna Aniela, Niegolewska Stanisława, Stasińska Zofia.

* **Przeciwko podatkowi biletowemu** na kolejach założone zostało w Hanowerze osobne stowarzyszenie. Przeciwnicy tego podatku postanowili sobie, od dnia 1-go sierpnia, t. j. od dnia, w którym podatek ten wchodzi w życie, jeździć o klasę niżej, jak dotąd, albo wogóle wolną od podatku klasą czwartą. Przeciwnicy nosić będą odznak mający publicznie okazać, dlaczego niższą jeżdżą klasą, aniżeli dotąd to czynili.

Tak Niemcy — my oddawna już uznaliśmy za dobre — nie wydawać zbyt wiele pieniędzy na koleje, by nie bogacić kas rządowych. Ale u nas Polaków, wiadomo, od słów do czynów całe kilometry daleko. Czyżby nie była obecnie pora do urzeczywistnienia

tylokrotnie poruszonej myśli nie jeżdżenie pierwszą, ani drugą klasą, lecz najwyżej trzecią, a przedewszystkiem czwartą!...

* **„Nordmark:“** Znane są u nas powszechnie „Ostmarkenferajny“. Są to towarzystwa hakatystów popierające wszelkie dążności niemieckie, szczególnie dążności skierowane ku germanizacyi Polaków. Jakie to są towarzystwa — wszyscy dobrze wiemy.

Otóż podobne stowarzyszenie istnieje na Śląsku austryackim, zwie się atoli „Nordmark“. Otóż ta „Nordmark“ utrzymuje — według „Dziennika Cieszyńskiego“ — różne szkoły niemieckie, zakłada biblioteki, utrzymuje pośrednictwa dla niemieckich robotników, służących, rzemieślników, uczniów i t. d., wszystko to dla obrony „zagrożonej“ niemczyzny. Liczy ona 186 miejscowych „Kół“, 13 850 członków i miała w ub. roku 155000 koron (150 tysięcy marek) dochodu. Liczba ta świadczy o niebywałej u Niemców ofiarności dla spraw narodowych i nadzwyczajnych wysiłkach tych, co ofiary te zbierali. Księgozbiory „Nordmark“ wynoszą 16758 tomów. Nadto „Nordmark“ wydaje corocznie kalendarz, w którym na każdem miejscu agituje przeciwko Czechom i Polakom.

„Dz. Cieszyński“ przyznaje otwarcie, że polskiej „Macierzy szkolnej“ istniejącej w Cieszynie daleko jeszcze do tej działalności „Nordmarki“.

* **Niezwykły proces:** Sprzedawczyk Gołębiewski z Lisewa w Prusach Zach. wytoczył proces „Gaz. Toruńskiej“ za to, że napiętnowała czyn jego publicznie. Prokurator sprawę przyjął i odpowiedzialnemu redaktorowi p. Juliuszowi Reichowi wytoczono śledztwo.

Wyniku bardzo jesteśmy ciekawi.

* **Poznań.** Staraniem tow. „Stelli“ wysłano w sobotę dnia 7-go b. m. na czas wielkich wakacyi do domów gościnnych na wieś 134 dzieci, na stałą kolonię wakacyjną do Kobylnicy 131 dzieci, razem 265 dzieci. Do dziatwy zebranej w Ochronce św. Józefa przemówił prezes Towarzystwa p. hr. Engeström, a sekretarz p. Walery Łebiński dał jej krótkie wskazówki, jak ma się w czasie swego pobytu na wsi zachować.

Dziatwa przeznaczona do Kobylnicy odbyła drogę pod opieką członka zarządu p. Winiewicza.

Wszystkim, którzy gościnnie otworzyli swe domy na przyjęcie dziatwy poznańskiej, składa zarząd „Stelli“ szczere podziękowanie!

* **Zanik poczucia narodowego.** Jak daleko chciwość bierze górę nad wszelkiemi uczuciami, jak dalece całe warstwy ludu polskiego zarażone są gorączką sprzedawczykowstwa, świadczy wymownie list gospodarza polskiego nadesłany do Biura „Straży“.

Na wiadomość, że gospodarz ten zamierza wejść w konszachty z Komisyą kolonizacyjną, Biuro Straży wysłało (najmniej już 50-te z rzędu) napomnienie równocześnie z wykazem polskich banków i instytucyi.

Na to gospodarz odpisał w sposób, z którego przebija zupełny brak zrozumienia sprawy a przytem prawie krwiożercza chciwość. Na 21 tysięcach marek dla polskiej instytucyi opuścić chce aż 300 mk., a do tego ma *ona sama* przyjść do niego, jak chodzi wszędy zmora kolonizacyi.

Wypadek ten nie jest odosobiony, jaskrawszy tylko niż inne. Co drugi lub trzeci z tego rodzaju ludzi grozi: „Dajcie pieniędzy, albo sprzedam Kolonizacyi!“

Tak daleko sięgnął już wpływ kultury pruskiej!

List, o którym mowa brzmi:

„Na list z dnia 26-go bm. donoszę niniejszem, iż proszę mi podać, który Bank chce odemnie moje gospodarstwo kupić. Chętnie sprzedam Bankowi i na całym moim majątku chcę 300 marek niżej sprzedać jak Komisyi. Komisya daje mi 7000 talarów i wszystkie porządki i budynki mam zabrać i inwentarz. W razie gdy ten Bank chce odemnie za tę cenę kupić (7000 talarów) to chętnie sprzedam i proszę mi donieść w przeciągu 8 dni(!!) bo gdy po 8-miu dniach nie dostanę(!!) odpowiedzi to Komisyi sprzedam(!!) bo ja chcę kupić sobie jeszcze przed żniwami co na polu jest.

* **Pożary kościołów:** W *Bobowie* w Prus. Zach. i w *Morzewie* w Bydgoskiem spaliły się w przeszłym tygodniu kościoły katolickie. Ani w jednym ani w drugim przypadku przyczyna pożaru nie jest znana. — Straszne to nieszczęście dla obu parafii.

* **Kaspral** (pod Kruświcą) około 1000 mórg kujawskiej ziemi, dotychczasowa własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu nabył mocą kupna na Kujawach p. Jan Miech, właściciel Bąkowa. Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

* **Chleb dla swoich.** Następujący rodacy dzielni w swym zawodzie, znajdą przy pewnym zasobie kapitału chleb między swoimi:

1) adwokat, w mieście liczącem 25 tysięcy miezkańców, 2) adwokat, w mieście liczącem 15 000 mieszkańców, 3) lekarz, 4) kupiec bławatów i stroju, 5) kupiec bławatów, 6) kierownik składu bławatów (z kaucyą), 7) kupiec żelaza, 8) rzeźnik, 9) piekarz, 10) książkowy z zbożowej branży.

Bliższych informacyi — najchętniej ustnie — udzieli Biuro „Straży“, Piekary 13.

Adres: Dr. Tadeusz Jaworski — Poznań—Posen.

Proszę załączyć znaczek na odpowiedź.

* **Figle poczty:** Dziwnie się plecie.... W Poznaniu tłómaczy biuro tłómaczeń znane miasteczko — Miejską Górkę na „Staedtisches Bergel“, kiedy jednak n. p. ktoś napisze kartę do — Städtischer Berg, to poczta bez biura tłómaczeń znajdzie do Miejskiej Górki, dopisując na adresie „Görchen.“ Co jednak najdziwniejsza, to że listy z bióra tłómaczeń podobno do Miejskiej Górki nie dochodzą — natomiast inne dochodzą. Śmieszne to — ale prawdziwe. Kto pragnie przekonać się dowodnie o prawdzie tego, co piszemy, niechaj zgłosi się do p. Daneckiego w Miejskiej Górce......

* **Przed wychodźtwem do Ameryki** przestrzega „Kuryer Ohioski,“ donosi on za jednem z nowojorskich pism, że niejakiś *Raganowicz* stara się ściągnąć kolonistów polskich i osiedlać ich na farmach (tak zowią się gospodarstwa w Półn. Ameryce). Otóż ten Raganowicz zwąchał się z posłem Stapińskim w Galicyi. „Kuryer Ohioski“ przypuszcza, że Raganowicz być może socyalistą, ale jeszcze prawdopodobniejszem mu się wydaje, że jest on prostym spekulantem „mojżeszowego wyznania.“ Na przestrogę tę zwracamy uwagę i tak Raganowicza jak i ew. jego pośredników polecamy wysłać tam, gdzie pieprz rośnie, gdyby się tu i owdzie i u nas wśród ludu mieli pojawić z namowami do Ameryki.

Ktoby jednakże koniecznie chciał emigrować, niech uda się do „Związku Narodowego Polskiego“ pod adresem p. J. Kruszki w Chicago U. St.

* **Bielice** tuż przy samem mieście Bydgoszczy bardzo korzystnie położone, około 800 mórg obszaru, z okazałym dworem w prześlicznym wielkim parku, dotychczasową własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu, — nabył mocą kupna p. Stanisław Niesiołowski z Modliszewka. Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

Nowonabywcy „Szczęść Boże!“

* **Potrzeba zaraz** dzielnego adwokata-Polaka na Górny Śląsk w mieście o 66,000 mieszkańców. Zgłoszenia przyjmuje „Praca.“

* **Rogoźno:** W ubiegłą niedzielę, 8-go b. m. odbył się w mieście naszem wiec w celu założenia „Sokoła“. Uczestniczyło w zebraniu około 140 osób. Wiec zagaił krótkiem przemówieniem p. Koczorowski proponując na przewodniczącego p. Dr. Wysockiego, który powołał do pióra p. Smukalskiego. Druh Teofil Preiss, prezes okręgu II Sokołów w p. n. przedstawił w krót-

kości cel i zadanie idei sokolskiej i zaznajomił z ustawami ogólnie przez tow. sokol. przyjętemi. Narazie zapisało się 35 członków. Zarząd stanowią druhowie: Aug. Smukalski, prezes, Michał Tatarek, sekretarz, Bogusław Krzywoszyński skarbnik. 4 radnych: Koczorowski, Cieśnik, Lubiński, Pawłowicz R. Mamy nadzieję, że nowe gniazdo nasze w krótkości w podwójną porośnie liczbę druhów i wypełni cel i zadanie powzięte. — Czołem druhom wągrowieckim, którzy w liczbie 18 przybyli do nas, by nam służyć radą i wskazówkami.

Lokal i ćwiczenia Tow. naszego: Hotel Krupskiego. Czołem!

Michał Tatarek, sekretarz.

* **Z Żydowa** donoszą „Lechowi“, że rodzice tamtejsi idąc za wskazówkami wieców szkolnych i oświadczeń nauczycieli w Miłosławiu posłali wnioski do nauczyciela z żądaniem, aby ich *dzieci nie uczono* nadal *religii w języku niemieckim*.

Nauczyciel p. Kaczmarowski, choć w sobotę kilka takich wniosków przyjął, w poniedziałek, gdy większa część dzieci takie wnioski przyniosła, oświadczył, zwracając wszystkie, nawet i te, które odebrał w sobotę, że żadnych podobnych wniosków już *nie przyjmie*.

Dla czego i jakiem prawem?...

* **W Gostyniu** odbędzie się w niedzielę dnia 22-go lipca w strzelnicy zabawa ludowa na cel dobroczynny. Komitet składający się z pań ze wsi i miasta uprasza o gorące poparcie. Hasło, jakie komitet na tę zabawę wydał, brzmi: Za tanie pieniądze dużo zabawy. Zabawę urozmaici koncert, urny — beczki — koła szczęścia — bufet smaczny i obfity, etc. Jednem słowem — warto pójść.

* **Z Inowrocławia** urządził „Sokół“ tamtejszy wycieczkę na jeziorze Gopła. Dzień był pogodny — cudny. Za zbliżeniem się inowrocławskich „Sokołów“ do Kruświcy, zebrana na brzegu ludność powitała ich owacyjnie. Tu przyłączył się do inowrocławskiego — sokół strzeliński. Obadwa gniazda zwiedziły po godzinnej po Gople przejażdżce ogród nad Gopłem „pod Myszą wieżą“, gdzie odbywała się zabawa kołowników kruświckich. Następnie udali się sokoli promami przez Gopło do Mątew i wrócili do domu.

Dobre — pisze „dziennik Kuj.“ — wrażenie zrobiły dowody łączności przyjacielskich uczuć, spajającej „Sokołów“ inowrocławskich z druhami z Strzelna. Przy rozstaniu się w Kruświcy wznoszono kilkakrotnie wzajemne z obydwóch stron owacyjne okrzyki. Ta niczem niezamącona zgoda i jedność uczuć wśród uczestników tej miłej wycieczki zadawała kłam naszej tradycyjnej polskiej niezgodzie. Oby tak zawsze było.

Sokoli nasi zyskali, jak się okazało świeżo, szczerą ogólną sympatyę, która jest zadatkiem dobrej i pomyślnej przyszłości dla „Sokołów“ polskich na Kujawach.

* **W Ostrowie** odbył się ub. niedzieli wiec „Wyzwolenia“, stowarzyszenia abstynenckiego. Pora po temu bardzo dobra — żniwa — rzekome pokrzepianie się wódką — dobrze więc zwrócić uwagę na jej szkodliwość. Niestety na wiec przybyło ludzi bardzo mało. Dowodzi to, że wstrzemięźliwość od napojów alkoholicznych dotąd wielu zwolenników sobie jeszcze nie zjednała. A byłoby bez wątpienia lepiej, gdyby było odwrotnie.

W tej myśli pochwalamy przyjętą na wiecu ostrowskim rezolucyę, polecającą wszystkim robotnikom i robotnicom, by wstrzymali się od używania trunków upajających — i zanoszącą do chlebodawców prośbę, by takimi trunkami nie częstowali.

Sława!

* **W Tczewie** (Prus. Zach.) odnieśli Polacy zwycięstwo przy wyborach kościelnych nad katolikami niemieckimi — i to 517 głosami przeciwko 109. Polacy ocknęli się z swej potulności, gdy ks. proboszcz zbyt zaczął uszczuplać nabożeństwa, a katolicy Niemcy za nadto śmiało i butnie przeszkadzali każdemu objawowi polskości na zewnątrz. — Musieli — jak to mówią — Niemiaszkowie Polaczkom dopiec aż do siódmej skóry, kiedy się nareszcie przeciwko nim ruszyli. Może to jeszcze w czas, by powetować odniesione krzywdy. Tylko śmiało i zgodnie naprzód do obrony naszych narodowych praw.

* **W Chełmnie** (Prus. Zach.) odbył się w niedzielę dnia 8. b. m. *Zlot Sokołów IV-go okręgu*. Pogoda sprzyjała Zlotowi jak najpiękniejsza. Niestety — pisze „G. Grudz.“ — udział członków ćwiczących z poszczególnych gniazd nie był dość liczny, znacznie mniejszy jak zeszłego roku na Zlocie w Grudziądzu. Było ich: z Wąbrzeźna 2, z Lubawy 7, z Chełmna 8, z Poznania 10, (w popisie uczestniczyło z nich 6) z Torunia i Bydgoszczy po 12 i z Grudziądza. Świeciły nieobecnością: Świecie, Chełmża, Kowalewo, Nakło i Koronowo. Urządzeniem Zlotu zajmował się dh. August Spandowski, ćwiczeniami kierował naczelnik okręgowy dh. Jaruszewski z Lubawy, a w zastępstwie naczelnika związkowego obecny był dh. Dreyza z Poznania.

Podczas wspólnego obiadu, do którego zasiadło około 70 osób, odczytano od głównego zarządu z Poznania następujący telegram: „Duchem z Wami. Całemu okręgowi braterskie pozdrowienie. Wydział Związku: Chrzanowski, Rzepecki“. — Wysłano też do zacnej Polki, panny Franciszki Batkówny, córki kupca chełmińskiego p. Batkego, która bawi obecnie na kuracyi w Davos, w Szwajcaryi, a około chełmińskiego „Sokoła“ wielce się zasłużyła, telegram tego brzmienia: „Zacnej Druhnie zasyła Zlot okręgu 4-go w Chełmnie życzenia, aby Jej Bóg zdrowie jak najprędzej przywrócił“.

Duch wśród obecnych na Zlocie druhów był doskonały, popisy wypadły w ogólności bardzo dobrze, a i zabawa wieczorem, jak to mówią, kwitła. Odczuwano tylko z przykrością brak liczniejszej publiczności z miasta, gdyż na takie Chełmno o wiele za mało jej się stawiło.

* **W Słupnie** (na G. Śląsku) nad Przemszą, tam, gdzie granice trzech państw zaborczych Prus, Rosyi i Austryi się schodzą, urządzili hakatyści w zaprzeszłą niedzielę „niemiecką manifestacyą“.

W pochodzie z Mysłowic do Słupna widziano 42 towarzstwa niemieckie, turnerów, zengerów, krygierów, landwerów itp. z 30 sztandarami. Widziano też z wysokich dygnitarzy pruskich, tak że dwóch zastępców rejencyi.

Chodziło o pokazanie, że każda piędź ziemi górnośląskiej jest i pozostanie niemiecką.

Całe szczęście, że manifestacye takie niczego nie dowodzą, chyba tego jedynie, że urządzający manifestacyami temi zagłuszyć chcą sumienie, które im głośno woła: do tej ziemi nie macie — prawa własności. Zagłuszali też ten głos — jak pisze „Polak“ — ilością wypróżnionych kufli napoju narodowego.“ Było ich zapewne nie mało...

* **W Coepenick** pod Berlinem odbył się ub. niedzieli wiec „Straży“. Uczestników było nie wielu. „Dz. Berl.“ przypisuje to temu, że „miejscowym czynnikom brakło rutyny w urządzaniu wieców“, a lud z kraju przybyły mało jest uświadomiony i woli iść tam, gdzie widzi księdza choć Niemca“. — Wiec zagaił red. „Dz. Berl.“ p. Krysiak, przewodniczył mu i objaśniał wiecowników o celach i zadaniach „Straży“. Opieszałość tych rodaków, co na wiec nie przyszli, do polskiego tow. pod nazwą „Kazimierz Wielki“ nie należą, lecz uczęszczają do niemieckiego „Arbeiterferajnu“, zgodnie potępiali pp. Krawczyk, Białecki, Smoczyński, Szulc i Szczerbowski. Komisarzem na Coe-

penick jest p. Krawczyk, mieszkający w Adlershof przy Sedanstr.

* **W Berlinie** odbył się VI zlot okręgu V związku sokolstwa polskiego w ubiegłą niedzielę wspaniale. Udział w zlocie brały Tow. sokole z Lipska, Hamburga, z Łużyc, z Grohn, D... nenhorst i 4 berlińskie. Do ćwiczeń stanęło 250 druhów. Każde nieomal gniazdo wystąpiło z jakiemś specyalnem ćwiczeniem — Rixdorf ćwiczył podpórkami, Moabit wystawił kilka pięknych i bardzo trudnych piramid — Charlottenburg wykonał malownicze ćwiczenia żerdziami, maczugami okazał się Berlin I. Zlot udał się znakomicie. Wśród powszechnej harmonii odbyła się po zlocie wspólna wieczornica. Czołem!

* **W Katowicach** (na G. Śląsku) odbyło się w niedzielę dnia 3-go b. m. zebranie starostów „Straży“ Zebraniu przewodniczył p. mecenas dr. Seyda z Katowic. Z Poznania przybył z ramienia „Straży“ p. Karol Rzepecki. Starostów przybyło 30. Oprócz tego stawili się reprezentanci wszystkich gazet górnośląskich. Obrady trwały od godz. 12-tej do 5-tej. Na zebraniu pokazało się, że Śląsk posiada 33 starostów i 99 komisarzy „Straży“. Członków jest kilkaset. Gotówki wpłynęło przeszło 200 marek. Obrady były bardzo ożywione i zamujące. Postanowiono energicznie zająć się rozpowszechnianiem „Straży“.

Od Redakcyi.

Panu Ant. Szym. w Świętochłowicach. Numery żądane wysyłamy. Prosimy w przyszłości dołączyć zawsze znaczek na porto. Pozdrawiamy.

Ego w Ros. Umieścimy. Pozdrawiamy.

Panu Snadnemu w Wanne. Listu Pańskiego nie umieścimy, ponieważ zawiera on zbyt wiele zaczepek osobistych — i niesłusznych naszego korespondenta. Co do sprawy samej godzimy się z Panem we wielu punktach, mianowicie, że dawniej w Westfalii między Polakami gorzej było, że Towarzystwa około oświaty wielką mają zasługę, że do założenia tych towarzystw dokładali ręki pp. Brejscy — i szczerze cieszymy się, że jednak Pan przyznaje, że jeszcze wiele, wiele brak. To przyznanie jest pierwszym warunkiem naprawy, a że tej we Westfalii i Nadrenii potrzeba, tego Pan zapewne nie zaprzeczy. Pozdrawiamy Pana.

„Kujawiakowi“ w Horsthausen. Prosiliśmy Pana o bezstronną korespondencyę o „Zjednoczeniu“. Co o pp. Brejskich myśleć i sądzić, to i my i czytelnicy nasi dobrze wiedzą — po cóż więc nieustannie przypinać im łatki? Sprawa na tem nic nie zyska. Bezstronność i służba w sprawie narodowej, to pierwszy warunek dla korespondencyi naszych. Ostatniej nie umieścimy. Pozdrawiamy.

„Weel.“ 1) Owszem wiersze zamieścimy, ale prosimy o cierpliwość, bo do każdego numeru dajemy przeważnie po dwa wiersze i to przedewszystkiem takie, które zastósowane są do rycin lub też artykułów jak n. p. w zeszłym numerze „Orły i Sokoły,“ a w niniejszym „Marsz Sokoła warszawskiego.“ Wiersze mogą być pisane na małym formacie papieru i po jednej stronie, ale o resztę poprosimy dopiero po wydrukowaniu już nadesłanych.

2) Wydawnictwo takich obrazków jest połączone z niemałemi trudnościami technicznemi i wielkim kosztem.

3) Resztę spraw postaramy się załatwić ku ogólnemu zadowoleniu.

Do Śremu: Poczyniliśmy starania o wiadomą fotografią jeszcze przed umieszczeniem artykułu. Niestety dotąd — bez skutku.

Panu J. P... w Dortmundzie. Wiadomość do przeszłego numeru nadeszła za późno.

Pani H. W. w Lidzbarku. — 1) O miejscu pobytu organisty R. nie mogliśmy się dowiedzieć. 2) Z nadesłanej fotografii korzystać nie możemy. 3) Początek powieści „Dla milionów“ zupełnie wyczerpany.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

4) ## O własnych siłach.

(Ciąg dalszy).

— Myślisz, że pozna się na tem? — oburzały się. — Pensyi nie doda, jeść lepiej nie da, o prezencie nie myśli. Głupia jesteś, że ci tak chodzi o czyją kieszeń.

To samo słyszała zawsze i wszędzie i aż ją złość brała czasami.

— Czy głupie, czy niepoczciwe — myślała. — O dzieci nie dbają. Nie rozumiem doprawdy! Wszak i one kiedyś będą matkami. Przecie to takie małe, takie słabe, któż im rękę poda, jak nie kobieta? Jak to można opiekować się dla pieniędzy, dla prezentu, nie z serca? A te panie, które podług nich są tylko złe, skąpe, nieludzkie! Prawda znajdą się różne, ale i sługi są także różne. Oj chyba więcej gorszych, niż dobrych. Niech robią co chcą — myślała. — Co mi do nich! A ja swoje „bachory" kocham, na panią narzekać nie myślę, bo mi krzywdy nie robi, i dobrze mi jest na świecie.

W tem niespodzianie spadł na nią smutek tak wielki i ciężki, jak ten dawny, przeszły, gdy opłakiwała ojca, a potem matkę.

Ukochana Hania, której maleńkie rączki tak często obejmowały jej szyję, a różane usteczka kładły się na jej policzki, zachorowała. Joasi zdawało się, że noc ponura rozciągnęła się nad domem — płakała ciągle a przez łzy widziała ciągle maleńką rozpaloną twarzyczkę i piersi unoszące się ciężkim oddechem.

Nic nie pomogło — Hania odeszła od niej na zawsze.

Gdy zamykano trumienkę — czuła, że ten drobiazg zabiera ze sobą połowę jej serca i że spokój i radość nie wrócą już do niej nigdy.

Ale matka więcej jeszcze odczuła stratę i zdawało się, że i jej życie lada chwila zagaśnie.

— Trzeba wynieść z domu jaknajprędzej — mówili doktorzy. — Inaczej za nic ręczyć nie można.

Sprzedano więc meble, spakowano kufry i Joasia została sama.

Pamiętała dobrze tę chwilę, gdy małe, drobne wychudzone ręce objęły jej głowę, a spalone gorączką usta szeptały tuż przy jej twarzy:

— Z serca bym cię zabrała, ale nie mogę. Bardzo rachować się muszę. Staś u babki zostanie.

Gdy zaś Joasia objęła jej nogi, położyła rękę na jej głowie i dalej szeptała:

— Żebyś ty wiedziała, jak mi żyć trudno, a oni po zdrowie mnie wysyłają. Zaglądaj do Stasia za mnie.

— Tak mi ciężko tak żyć nie mogę — szlochała Joasia.

A pani podniosła na nią spłakane oczy.

— A mnie lekko? —spytała.

Prawda! O Boże! Jej ciężej — przeszło jej przez myśl. Jedno dziecko w ziemi zostawia, drugiego zabrać nie może — od wszystkich musi odjechać.

I zdawało jej się, że stoi ktoś przy niej i szepcze: zamiast płakać — pociesz. Zamiast myśleć o własnym smutku — podnieś się i dodaj sił tym, którzy ich nie mają.

Pocałowała więc panią w ręce i odezwała się spokojnie:

— Bóg widzi, że chciałabym z panią jechać, ale jak nie można, cóż robić? Ja i tak nie zapomnę, poczekam, aż pani powróci. Ale czy będę wiedziała cokolwiek o pani?

— Jeżeli chcesz o mnie wiedzieć, idź na służbę do pani Wilskiej. Weźmie cię z chęcią i wszystko będziesz wiedziała.

— A o Stasiu kto mi doniesie? — spytała cichutko i rozpłakała się wtedy.

* * *

Rok mijał, jak Joasia przeszła do pani Wilskiej.

Grób Hani, utrzymany starannie, mienił się różnobarwnem kwieciem, gdyż Joasia pamiętała o tych, którzy umarli i o tych, którzy żyli daleko. Tak samo ich kochała tak samo tęskniła serdecznie, a jednak czuła to dobrze, że uczucia te nie były już tak gorące i smutne, jak dawniej.

Pewnej niedzieli poszła, jak zwykle, do Janowej i zastała wesołość, jak nigdy.

Przed Janem stała wódka, leżały bułki, ser i kiełbasa. Janowa wyciągała rumiany schab z piecyka, a zapach kapusty rozchodził się aż na schodach.

— A to co za bal? — rozśmiała się Joasia, stając na progu.

— To i dobrze, żeś przyszła — zawołała Janowa. — Bo bal bez panny.

— Tyle wart co schab bez kapusty, — rozśmiał się Jan.

— I bez dobrego kieliszka wódki — dodał głos jakiś za jej plecami.

Obróciła się i zarumieniła nagle.

Zobaczyła młodego chłopaka o czarnych wąsikach i znowu się zarumieniła.

Tak się przestraszyłam — szepnęła nieśmiało.

— Czego? Czy taki straszny jestem? — rozśmiał się chłopak, zaglądając jej w oczy. Mnie daj Boże zawsze takiego stracha spotykać, jak panna Joanna.

— Oj Paweł! Paweł — rozśmiał się Jan. Był wicher i został wicher. Zkąd że ty wiesz, jak jej na imię?

— Zkąd wiem? Ja zawsze wiem imiona wszystkich pięknych panien, a o takim ślicznym kwiatuszku wiem jeszcze więcej.

— No i co wiesz więcej? — dopytywał stary.

— Co więcej? Wszystko! Ma buzię, jak malowanie, włosy, jak złoto, a oczy! O jej! zgubić się dla nich można.

— Głupiś! — śmiał się stary. — To dopiero nowina. Każdy nie ślepy widzi to samo.

— Dajcie, że raz spokój — przerwała Janowa. — Młody głupi, ale i stary nie mądry. — Nie może się poznać na żartach. Mówiłam z nim o niej, to i wie, jak ma na imię. Lepiej poznajomij ich, bo tak na dziewczynę obydwaście wpadli, że językiem poruszyć nie umie.

— Chodź że tu bliżej — dodała, biorąc Joasię za rękę, — i siedź przy starym.

— Na młodego możesz popatrzeć — szepnęła jej do ucha, ale trzymaj się ostro. Hultaj nie chłopak powiadam ci.

A Joasi tak się ten hultaj spodobał, że choć się wstydziła musiała spoglądać.

— Syn mojej siostry — powiedziała głośno Janowa. — Matka dawno umarła, ojciec sam wychowywał, rozpieściło się też to, jak torba dziadowska. Ja ci mówię Paweł, trzeba ci się ożenić. Niech cię kobieta trochę naprawi.

— Ożenić? — krzyknął chłopak. — Olaboga toć ja gotów, choćby w tej chwili. Niech mi tylko ciotka pannę namówi. Dryndę zawołam i do kościoła jazda. Jest schab

jest kapusta, jest i wódka w dodatku. Miał być bal, niechże będzie wesele.

— No jakże, dobrze? — zwrócił się do Joasi.

Dziewczyna roześmiała się i śmiała się tak serdecznie, że aż jej łzy w oczach błysnęły.

— O, panna młoda płakać zaczyna — zawołał Paweł. — Możemy jechać do ślubu.

Nie spostrzegła, kiedy jej zbiegła godzina i przestraszona zerwała się z ławki.

— Muszę lecieć! O Jezu jeszcze się spóźnię, — zawołała, ściskając Janową. — Na przyszłą niedzielę znowu przylecę.

— Rety cały tydzień czekać! Toć ja wyschnę jak wiórek — ubolewał Paweł, kiwając głową.

— Oj Paweł, Paweł, — upominał stary. — Kiedy u ciebie ten wicher przejdzie?

— Chciałby wuj — śmiał się Paweł. — Toć teraz jesień bez wiatru nie może się obyć. Na wiosnę, jak się ożenię wygonię za bory i lasy.

— Do widzenia — szepnęła Joasia, podając mu rękę.

— Nie głupim tak prędko się żegnać — powiedział, szukając czapki. Odprowadzę, zobaczę gdzie panna mieszka. Czasem, wracając z roboty, do okna choć zajrzę.

— Kiedy wysoko mieszkam. Jakże to pan Paweł będzie zaglądał?

— To chociaż westchnę, kiedy zajrzeć nie można.

— Tobyś musiał jak wół ryknąć, żeby cię na drugiem piętrze słyszeli — roześmiał się stary.

— Wuj myśli, że nie potrafię? Na czwartem by usłyszeli, nie tylko na drugiem. Czegoby to człowiek dla takiej ptaszyny nie zrobił?

A Joasi serce biło mocno, coraz mocniej, taki jej się wydał miły i dobry.

Przez drogę powiedział jej, że na robotę do fabryki przyjechał, że jest majstrem, że ojciec puścić go nie chciał, ale on światu chciał się przypatrzeć i kochanej poszukać.

— W naszym kącie ani jednej panny do ludzi nie ma. Pomiotła, nic więcej! — wołał, machając ręką. — Ojciec to mi prawił, że wszędzie jednakie. Akurat! Niechby zobaczył pannę Joannę. Dopieroby śpiewał.

— Są ładniejsze odemnie — szepnęła cichutko.

— Gdzie? — wzruszył ramionami. — Chyba na tamtym świecie, bo na tym to niema. Szyję daję, że nie ma.

— Szkoda szyi — wymknęło się jej z ust niechcący

— Bodajżeś żyła sto lat, za takie poczciwe słowo, zawołał Paweł. To ty mnie lubisz troszeczkę?

— Ot, tak zaraz! Cóż znowu. Nie mogę powiedzieć, — broniła się zawstydzona.

— A ja pannę Joannę kocham, tak mi Panie Boże dopomóż. A jak mnie nie pokochasz, do wody pójdę — wołał Paweł gorąco.

Od tego czasu zaczęła się dla niej radość.

Gdy idąc szeptał, że za nią życie by oddał, słuchała tego, jak najpiękniejszej muzyki. Był młody, ładny i taki dla niej miły, taki jedyny. Gdy go dojrzała, zdawało jej się, że to słońce się zbliża i szła naprzeciw całem swem młodem gorącem sercem.

Teraz chciała być ładną, żeby mu się podobała. Chciała być wesołą, żeby się przy niej nie znudził. Opanowało ją to nagle i jak płomień obejmowało całą, dopóki nie zrozumiała, że płomień ten gaśnie, ale dopiero z życiem.

Nawet przy pracy twarz jej się rozjaśniała wspomnieniem chwil minionych, każdego spojrzenia, każdego dobrego słowa.

Tylko zazdrosne towarzyszki psuły jej radość chwilami. Znosiły nowinki, wszystkie niby pewne, na własne oczy widziane.

To z inną cały wieczór tańcował, to na pieniądze rachuje, to hulaka, bez koszuli na grzbiecie, to z bogatą Nastką był wczoraj w kościele. I martwiła się bardzo, nie mogąc im powiedzieć, że kłamią, bo naprawdę Bóg tylko wiedział, co się działo w jego myśli i sercu.

— Czy to nie mówi zawsze, że kocha — pocieszała się wtedy. I zaraz znowu wbiegało do myśli, że może on wszystkim ładnym mówi to samo. Boć prawdę mówiąc, czy on mnie miłuje — myślała. Że chce przygarnąć, że chce całować, czy to można nazwać poczciwem kochaniem? Pewnie że prawdę mówię. Czy nie powinien przyjść i powiedzieć, jak każdy uczciwy człowiek mówić powinien: choć biedna jesteś sierota, ale cię kocham, jak duszę własną — więc chodź ze mną na dolę, jak nam Bóg wyznaczył.

— Tymczasem dotąd co mi powiedział? westchnęła. Nic! Bo to, że zawsze powtarza, że kocha, czy może mi to wystarczyć? Nie może, Boże kochany! Jabym chciała żeby mnie kochał i szanował, i żeby życie bezemnie było mu puste i smutne, jak mnie bez niego. Nie jest dzieckiem — chleb ma w ręku, — nie powiedział mi jednak nigdy, żebym była jego do śmierci. Nie kocha mnie — dla tego nie mówi. Nieraz, gdy się przytulał, szepcąc słodkie słowa do ucha, chciała spytać go, czy ją tylko w tej chwili kocha — ale nie śmiała. Gniewać się będzie — myślała. Zawsze się gniewa, gdy go czasem odsunę od siebie. Wreszcie powiedziała sobie, że musi dowiedzieć się prawdy i gdy raz wróciła z kościoła, a on ją zatrzymał na ulicy i puścić nie chciał spytała prędko: Paweł, za coś ty się wczoraj pogniewał — powiedz?

— Gdybyś była taka, jak inne — nigdy bym się nie gniewał.

— To jestem gorsza od innych?

— Pewnie, że gorsza, bo inne za kochanie dają także kochanie, a ty za to, że jak pies patrzę ci w oczy, nie mi dać nie chcesz? Ot pocałunek i ten cię parzy.

— A gdybym cię całowała jak inne, czybyś mnie więcej kochał?

— Gdy cię przytulę do siebie, zdaje mi się, że mi serce do ciebie wyskoczy.

— Ale tylko wtedy, jak mnie przytulasz — prawda?

On się roześmiał.

— Cóż ty mnie, jak sędzia wypytujesz o wszystko? Jeszcze mi nigdy do głowy nie przyszło mierzyć, kiedy cię więcej kocham. Czy ci nie dość, że ot w tej chwili kocham cię bardzo? Co mamy myśleć, co jutro będzie.

— A ja na jedną godzinę uciechy nie chcę — odpowiedziała żywo.

— Co z tobą się dzieje? Czego ty chcesz? — zawołał.

— Paweł — powiedziała prędko — trzeba się nam rozmówić.

— Robak ją ukąsił? — mruknął Paweł. — Wszystkie widać umieją się złościć.

Ale ona nie zważała na to i, spojrzawszy mu prosto w oczy szepnęła:

— Paweł, choć mi wstyd, muszę ci powiedzieć, że bardzo cię kocham. Wiem kiedy się to zaczęło i wiem także, że się nigdy nie skończy, a ty widzisz nic nie znasz swojego serca. Niewiesz, jak mnie kochasz, doprawdy mówię ci prawdę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Maryan Jastrzębiec.

Nim wzejdzie dzień...

Powieść na tle wypadków Królestwa Polskiego 1905 r.

18) (Ciąg dalszy.)

— Przyniesiono ci do domu?

— Nie, wezwano mnie do komisarza.

— Badano cię?

— Pobieżnie; powiedziałem, że był moim kolegą od wstępnej klasy i że kochaliśmy się jak bracia.

— A pogrzeb?

— Z pomocą Zygmunta zrobiliśmy starania o wydanie zwłok. Ale zażądano, żebyśmy pochowali go o świcie dla uniknięcia zbiegowiska. Jakoż pochowaliśmy go we wtorek o 7-mej rano; koni z powodu strejku dostać nie mogliśmy, ale koledzy stawili się prawie wszyscy, było też trochę handlowców i garść robotników, nieśliśmy więc go na przemiany. Anielka poczciwa wybrała się także, mimo tak wczesnej godziny. Stawiły się naturalnie Stankowskie, Przewódzka i Terenia Romaszko. Znalazły się i wieńce i szarfy, które tu mam; odjąłem je dla Marychny. Nad grobem Władek Szumowski wygłosił piękną mowę, ale zaćmił go Zygmunt Rożek, robotnik z fabryki Frageta. Nigdy nie widział Artura, ale na postępek jego zapatrywał się jako na czyn polityczny i mówił tak.... no.... trzeba było słyszeć! co za ogień, co za siła przekonań, jaka potęga słowa w całej swej prostocie.

— Czemuś mnie nie zawezwał?

— Obawiałem się, że to może pogorszyć twą sprawę. Zresztą wobec tych rozruchów.... mama zapłakałaby się z niepokoju.

— Pochowaliście go na Powązkach?

— Tak, obok rodziców.

— Kto dał na to pieniądze?

— Zygmunt; nie pozwolił na sprzedanie czegokolwiek.

— Rozumie się, poczciwy Zygmunt. Wrócę mu pieniądze, a za delikatność całe życie kochać go będziemy razem z Marychną.... Wicio wie o tem wszystkiem?

— Naturalnie, ale mu nakazałem milczenie. Marychna ledwo przeszła jeden cios, po co zaraz gnębić ją nowym? Będzie się niepokoić długiem milczeniem brata, to po trochu przygotujemy ją do tego nowego nieszczęścia.

— Tak; dziękuję ci, Gieńku, ty masz kobiecą delikatność.... Ale ten Artur.... ja go miałem za samoluba.... Opowiedz mi detalicznie całą waszą ostatnią rozmowę, postaraj się przypomnieć każdy szczegół.

Gienio zaczął opowiadać, Tadeusz słuchał w skupieniu, wywiązała się następnie dysputa na temat wydziedziczonych i pokrzywdzonych przez los. Obaj zanadto byli zdenerwowani, aby pomyśleć o śnie. Blady świt zajrzał w okna, a też i lampa zaczęła przygasać. Tadeusz zdmuchnął ją i zaproponował bratu spacer. Gienio zgodził się chętnie i na chwilę obaj, ubrani w ciepłe czamary, szli udeptaną w śniegu ścieżyną w stronę lasu. Niczem nie zamącona cisza panowała w powietrzu, krzaki i badyle, przyciśnięte śniegiem przybierały fantastyczne kształty, pola zdawały się być puszystym, pluszowym kobiercem. Odległy spacer zmęczył ich fizycznie, ale pokrzepił nerwy.

Gdy wracali dzień już był zupełny i we wsi panował nie wielki, lecz jednostajny ruch, budzącego się do pracy dnia zimowego. Zbliżali się do czworaków, gdy z sieni wybiegł mały Władek Pietrka Okraja.

— Tata przyjechali z wojny! rzucił ku nim i przestraszony ukrył się znowu za drzwiami.

— Pietrek wrócił z wojny! zabrzmiało z drugiej strony.

To Lisuniowa powtórzyła wiadomość, idąc z wiadrem do studni.

— Patrzcie państwo, to Piotrowa musi być w siódmem niebie, rzekł Tadeusz.

— Wstąpmy tam na chwilę, dodał Gienio.

Weszli do izby zapchanej ludźmi. Zrobiono drogę paniczom, na których powitanie porwał się też Pietrek, zsadzając z kolan trzyletniego syna.

— No, i jesteś z powrotem, Piotrze. Bóg łaskaw był na ciebie. Cóż to, drapnąłeś?

— O, bo to ja mógł! Uwolnili mnie. Ranny byłem, dwie kule w nodze, tu w lewej; kule wyjęli, ale kulawo stąpam, bo ta jedna blisko kolana i mięso skurczyło się w zawiasie.

— W jakiej bitwie?

— Bez bitwy, zaraz po Nowym — Roku, takiem se raz wyszedł z kolegą, a tu buch gdzieś z boku raz i drugi, a my oba łup na ziemię; tamtego na śmierć zabiło, mnie się w nogę ino dostało. Łaska Boska!

— Przyjdź do dworu, jak się nacieszysz swymi. Wszyscy radzi cię posłuchamy.

Koło południa wprowadzono Pietrka do gabinetu Jana. Wsunęła się za nim i żona, która każde opowiadanie słyszała po kilkanaście razy i nigdy nie miała dosyć. Całe towarzystwo zajęło miejsca. Piotrowi też podano krzesło, aby nie męczył rannej nogi.

— Z paniczem nie widziałeś się tam? pytała pani Zofia.

— Nie; ja mało co i był na tej wojnie. Przyjechaliśmy na miejsce na drugi dzień Bożego Narodzenia, a już w tydzień po Nowym Roku leżałem w szpitalu. Tylkom bez te dwa tygodnie głodu użył.

— A cóż to jeść wam nie dawali?

— Kocioł był o dobre dwie wiorsty od obozu, a że „psota" była najczęściej, to wolało się chlebem i herbatą żyć, aniżeli leść kawał drogi.

— I czemuż wam taką niewygodę zrobili?

— Bóg ich wie!... Znowu innym było lepiej.

— Więceś ty i bitwy nie zaznał?

— A nie.

— Wywieźli mnie do Mugdzienia, do szpitala, ale ja miał dosyć, jak po bitwie zaczęli przynosić rannych, a ci opowiadali, co się działo! Chryste Panie! Piekło! piekło na ziemi!... A ci ranni!... W sali to dobrze, wszystko to opatrzone, czyściutką gazą spowite, a do opatrunku, co cięższy — wynoszą, ale ja już wstawał i chodził, gdy rannych po bitwie zaczęli przywozić i patrzałem przez okno, jak ich zdejmowano z noszy! Takiego widoku nie daj Boże doczekać mi po raz drugi!... A ten jęk!... Po jakimś czasie to człek i do tego przywyknie, ale te pierwsze dnie i noce!... Gdzie ucho zwrócić wszędzie jęk, stękanie, a nieraz to krzyk, prawie ryczenie. I tak dzień i noc! dzień i noc! Pytam siostry Elżbietanki: co temu, co tak ciągle ryczy?

— Ma pękniętą czaszkę.

— A zlepią mu?

— Gdzie zaś?

— Więc nie będzie żył?

— Pomęczy się jeszcze kilka dni.

— Toć lepiej dobić go, albo otruć!

— Nie wolno!

— Nie wolno! Tak pewno, wyprowadzać tysiące na śmierć, na mękę, można, bo tak chce cesarz, ale skrócić cierpienia — nie wolno!

— A siostry dobrze o was dbały? — zapytał Jan.

Pietrek ręką machnął.

— Takie one i siostry, te Elżbietanki!...

Tu choremu nogę trzyma, a tu młodszy lekarz, niby asystent, z przeproszeniem państwa umizga jej się, jak

mi Bóg miły, na własnem oczy widział!... A co to śmieciu, co to goniw po korytarzach, to po prostu obraza Boska!... Chory woła, błaga pomocy!... Ja wtedy był już zdrów i wychodził trochę... Tak tak było... Na małej salce ze mną po bitwie było trzech, jeden trafił się Polak, z pod Pułtuska, Tomasz Rojek, poczciwy chłop, kula mu cały wierzch głowy zorała; drugi Moskal, na imię miał Tit, dostał trzy pchnięcia bagnetem na wylot, ciągle krew ustami mu się rzucała i mówili doktorzy, że nic z niego nie będzie; a trzeci, tośmy przez kilka dni nie wiedzieli, kto on taki, bo go szrapnel tak w samą rękę poczęstował, że opatrunek miał przez całą głowę i twarz, ino mu takie smutne, zakrwawione oczy wyzierały z pod bandaży.

— Aleś zaczął mówić coś o siostrze...

— A właśnie.

Otóż raz temu Moskalowi strasznie źle się zrobiło. Było już blisko północka. Krew mu się rzuciła, kaszlał długo i chwytał się przytem z jękiem za piersi, bo mu to porwane wnętrze wielki ból sprawiało. Potem opadł na poduszkę ledwie zipiąc, a gdy się trochę wydyszał, powiada: „skanczajuś“,*) a po chwili błaga, żeby mu przyprowadzić „świaszczenika“.**) Idę do dozórcy, co na dużej sali był, mówię, że „soldatik skanczajetsia“ i prosi świaszczenika. — Boh jewo znajet, kuda on! posyłał ja przed godziną do jednego z moich umierających, nie zastali doma, może gra w klubie z oficerami. Idź do siostry, może wie, gdzie on. Pewno, zaśmiał się Nikita, chory, co też jak ja już łazil, a dawniej odemnie w szpitalu był. Kto jak kto, ale siostra Anastazya będzie wiedzieć, gdzie on, a może i razem siedzą w jakiej dziurze. Poszedłem szukać, Nikita ze mną. Chodziliśmy od sali do sali, wszędzie jęk, wszędzie charczenie umierających, wszędzie dopraszanie się o pomoc, na próżno. Tak szukając, zaszli my aż do apteki i tam zastaliśmy siostrę razem z świaszczenikiem....

— No, no, już się domyślamy, — przerwała pani Zofia. — Cóż, poszedł?

— A no poszedł, jak się ogarnął... Wszedł do naszej salki, a Tita ino raz już podrzuciło i skonał. Świaszczenik odprawił modlitwy nad ciałem i powiedział, że tysiące i bez tego umiera, że mu odpuszczenia nie trzeba było, bo kto ginie na wojnie za cara, to i tak idzie prosto do nieba.

— Straszne stosunki, — szepnęła pani Iza.

— Dali wam innego towarzysza, na miejsce zmarłego? — zapytał Tadeusz.

— A tak, przynieśli kozaka, co już pięć dni na korytarzu na noszach leżał, bo nie było go gdzie pomieścić. — Zdaje się, że miał rozum pomieszany, ciągle leżał z zamkniętemi oczami i pod nosem nucił piosenki, a takie smutne, że serce krajało się słuchać. Jeść nic nie chciał, umarłby z głodu, bo strawa mogła do nocy stać, a on by nie tknął. Trza go było jak dziecko karmić.

— I kto go karmił? zakonnica?

— Aha zaraz!... Jej zawsze było spieszno, miała jedno ino na ustach: skarej! skarej! ***) Ja karmiłem... Naraz zakrztusił mi się, bo precz swoje dumki śpiewał.

— A powiedz jak to było z tym... — wtrąciła Piotrowa.

— Cichoj! nie przerywaj, opowiem i to także... A to tak było: Ten z owiązaną twarzą jak my z Tomaszem mówili, ciągle patrzał na nas, jakby nas rozumiał. Raz to zgadało się o naszych kobitach. Tomasz rozbudził się i zapłakał raptem, powiada: „Śniła mi się moja Kaśka, że takie wielkie wiadro niosła z pomyjami dla krowy, aż się ugi-nała i stękała. Ja chciał iść jej na pomoc, ale między nami była wielka woda i ja nie mógł przebrnąć.

— To niedobrze, że wam się kobita z pomyjami śniła, pedam jemu, to widać jest w jakichś plotkach i obmowie.

Tomasz zapłakał.

— A uchowaj-że mnie Boże, — woła.

— Młodą kobitę macie? — pytom.

— Gdzie zaś, dziesięć roków odemnie starsza.

— A ładno?

Tomasz się roześmiał.

— Jakiem ją do ojców pierwszy raz przyprowadził, mówi, to ojciec pyto mnie: „a kajżeś tego koczkodona wystrychnął?“

— No to nie powinniście strachu mieć.

— A jakże! Niby to chłop na urodę łasy! Moja gospodyni jak mało, robota w ręku jej się pali, jak ona kapusię ukisi, to i do dworu na spróbowanie proszą. I tak umie urządzić, że u niej zawdy okrasy w bród, kluski jak na drożdżach, a tłuszcz to z nich prosto kapie... A wiadomo, chłopu do serca przez brzuch najlepsza droga.

— Zawsze to nie to, co uroda, mówię ja. Moja Andzia to aż dziw taka ładna.

— Ja to mówię, że dobra gospodyni największa oskoma dla chłopa.

— A ja mówię, że gładka gęba jeszcze większa. U nas, mówię, we wsi był chłop, Kazimierz Wróbel, pojął za żonę dziewuchę jak malowanie, starszą od siebie, ale taką, co i każdy pan na nią się obejrzał. No i wzieni go do wojska. Chłop głową o mur walił, tak desperował, że ma swoją Helkę ostawić. A ona!... Nie wyszły trzy tygodnie, a już z Wawrzonem, formanem się wodziła, to ją znów od Wawrzona odmówił Naszczyk, stary, bogaty gospodarz; kupił ją pięknemi podarkami, potem to z korepetytorem paniczów w altanie po nocy się zamykała, potem lokaj, co z jednym starym panem przyjechał, a kto by ich ta zliczył!... Nakoniec uczepiła się Antka Konara; chłopak bez żółci, zda się, był, dobre, ciche, potulne, to tak go wykierowała, że i kobitę i dzieciaka ostawił i przed wojskiem teraz umknął... i co mu przyszło? Zabili go, ledwo na granicy stanął? A ona może płakała ... Pewnie!... Trzy tygodnie upłynęły zanim nas wyprawili w drogę, to już nam żydzi powiedzieli, że po pruskich karczmach z jakimś sołdatem się wyciera... Chciałem jeszcze o tych pieniądzach, co Lizuniowi ukradła, mówić aż tu słyszę z kąta coś jakby ryknęło nieludzkim głosem. Obejrzeli my się oba, a ten, co mu szrapnel w zęby zajrzał, zerwał się z łóżka, stoi i bandaże ze wściekłością z twarzy zdziera i ciska na ziemię i nogami depcze; padały z początku białe płaty gazy i waty, a potem zaczął odrzucać krwawe i krew mu ściekała na piersi, na ręce! Wreszcie zerwał ostatnią zawiązkę i okazała nam się twarz! nie twarz! jedna krwawa, straszliwa jama. Szrapnel wyrwał mu wargi, zęby, brodę, część języka i nosa! Rozdrażniona rana buchała krwią, gardło poruszało okaleczały język okropnym bełkotem, a on te krwawe szmaty deptał bosemi nogami, jakby pastwił się nad żywą istotą.

I odrazu tknęło mnie, że to Kazimierz, więc rzucam się go uspokajać: „bracie, mówię, tyle cierpieć dla niegodnej! bracie, uspokój się!“ A Tomasz począł wołać pomocy.

Nadbiegła służba, doktór dyżurny, zrobił się gwałt, biedaka siłą położyli na łóżko, chcąc znowu opatrywać ranę, ale on jakąś dziwną mocą odepchnął znowu wszystkich, klęknął na łóżku, obie pięści wzniósł w górę, ryknąwszy coś jak przekleństwo i runął na ziemię. Podnieśliśmy go, położyli na łóżku, drgnął jeszcze kilka razy i skończył.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Umieram.
**) Duchownego.
***) Prędzej.

Dla milionów.

Powieść tłumaczona z francuskiego przez M. P.

39) (Ciąg dalszy.)

Anatol bardzo był zadowolony.

— Mam go, — pomyślał, — to nikt inny, jak ten chłopak!

A zwracając się do Henryka, pytał dalej:

— Kiedy widziałeś ostatni raz tego Roberta?

— Dwa dni przedtem, jak mnie chciano zamordować.

— Gdzie?

— W Saint-Maur-les-Fosses.

Ciemności rozjaśniały się coraz to więcej, a chociaż nie można było wiedzieć, czy Robert Martin chciał zabić Henryka, to jednak nie ulegało wątpliwości, że zabrawszy papiery jego, przyjął miejsce groma u hrabiego Noirville.

I wróciwszy do domu, wydał Anatol natychmiast rozkaz aresztowania Roberta, ale któż opisze jego przerażenie, gdy się dowiedział od dyrektora policyi, że pomimo najgorliwszych poszukiwań, nie zdołano odszukać ani Loli, ani Alfonsa, ani Roberta!

Policya wyśledziła wszystkie dotychczasowe mieszkania Loli i Alfonsa, nawet ów mały domek na wsi, do którego się Lola przeniosła w końcu, ale nikt nie wiedział, dokąd wyjechała.

Od tej chwili stracono ich ślad i nie można się było równie dowiedzieć o miejscu pobytu Roberta. Od dnia, w którym opuścił Noirville, nikt go nie widział i nikt o nim nie słyszał.

Anatol znowu zaczął tracić nadzieję i był zupełnie już zniechęcony swem niepowodzeniem, gdy jeden z policyantów doniósł mu, że matka Alfonsa i Roberta żyje i ma tandeciarnią i sklep na ulicy Rebeval pod numerem 53.

— Nareszcie! — zawołał. — Matka wie przecież, gdzie synowie jej przebywają.

— Albo może znajdziemy ich u niej.

— Każ pan wezwać kilku żandarmów i jedźmy natychmiast na ulicę Rebeval. Pan dyrektor policyi pojedzie z nami!

ROZDZIAŁ 16.

Pani Martin zmieniła się bardzo w ostatnim czasie, skłonność do pijaństwa wiodła ją szybko do brzegu przepaści. Lubiła ona zawsze wódkę, ale nie piła nigdy tak, jak teraz, gdy nadzieja otrzymania kroci zawiodła ją tak okrutnie!

A wszystkiemu złemu synowie byli winni!

Robert opowiadał jej tyle o milionach, po które dosyć mu tylko było wyciągnąć rękę, aby je dostać, że pani Martin myślala, że już je ma w kieszeni, tymczasem zaś rzecz miała się zupełnie przeciwnie.

Upływały dnie, tygodnie i miesiące, a przyrzeczone skarby nie zjawiały się. Już nawet rok minął od dnia, w którym złożyła u niej swoje skarby — wówczas obliczono dokładnie posag panny Garrel i obiecano jej także pewną część onych milionów. Daremne czekanie na pieniądze męczyło ją strasznie, a gdy Lola wzięła nawet złożone u niej pieniądze, i Robert nic nie chciał powiedzieć, co zamierza uczynić, wtedy prawdziwa rozpacz opanowywała nieszczęśliwą kobietę i wtedy wódka jedyną jej była ucieczką. Robert dla tego nic już nie chciał powiedzieć, że obawiał się jej gadatliwości, nie rozmawiał z nią przeto wcale. Alfons nie bywał już wcale u matki, wiedząc, że pieniędzy nie dałaby za nic w świecie, tak się stała teraz chciwą i skąpą.

O handlu swoim wcale już nie myślała, od czasu, jak Robert wyjechał, otworzyła go tylko dwa razy. Wychodziła raz na dzień po wódkę, jadła bardzo mało i leżąc na swem brudnem łóżku, piła bez upamiętania. Sąsiedzi unikali jej jak złego ducha i nie dziwili się wcale, gdy jej nie widzieli kilka dni, okiennice zaś w jej mieszkaniu zawsze prawie były zamknięte.

— Upiła się znowu i śpi, — mówiły sąsiadki,i żadnej z nich nie przyszło na myśl zobaczyć, czy stara tandeciarka nie zachorowała lub nie umarła.

Ani Alfons ani Robert nie pożegnali się z matką i nie powiedzieli jej, dokąd jadą, żaden też nie pisał do niej i nie dawał znaku życia. W rzadkich i krótkich chwilach przytomności czuła się głęboko dotkniętą takiem postępowaniem ukochanych synów i dla pocieszenia się piła znowu, szepcąc słowa bez żadnego związku:

— Alfons! Lola! Milion! Robert! Trzy miliony! Tysiąc milionów!

W dniu, w którym sędzia i dyrektor policyi zamierzali w jej domu odbyć rewizyę, wyszła o szarej godzinie po wódkę, i wróciwszy do domu, pozamykała starannie drzwi i okiennice, będąc w ciągłej obawie, że złodzieje się zakradną. Potem zapaliła świecę, napiła się wódki i zabrała się do ugotowania kawy. Ale zaledwie nalała spirytusu w maszynkę, pośliznęła się, i padając, pociągnęła za sobą stolik, lichtarz zaś przewrócił się tak nieszczęśliwie, że świeca upadła w spirytus. W jednej chwili buchnął ogromny płomień, obejmując stolik i leżącą pod nim kobietę, a stało się to tak nagle i tak szybko, że o ratowaniu się nie mogła nawet myśleć. Chociaż rozpacz i ból wróciły jej przytomność, to jednak stolik przytłaczał ją tak, że ruszyć się nie mogła i w przeciągu godziny nie zostało z pani Martin nic, jak garść popiołu i zwęglone kości.

Cały domek nieszczęśliwej spalił się przy tej sposobności, bo zanim sąsiedzi dali znać straży ogniowej, zapadły się kruche, słabe belki i nie było już czego ratować.

W tym właśnie czasie przybył tu pan Anatol Latour i dyrektor policyi. Powóz ich musiał stanąć na początku ulicy, bo zgromadzony tłum tamował drogę.

— Co się tu dzieje? — zapytał dyrektor, wychylając głowę przez okno powozu.

— Dom się pali! — odrzekł ktoś z publiczności.

— Czyj dom?

— Wdowy Martin!

Anatol zadrżał.

— A ona? — zawołał.

— Stara spaliła się! Dach zapadł, nie można już nawet było wynieść jej ciała!

Urzędnicy przerażeni spojrzeli na siebie.

— Z tym domem znikła cała moja nadzieja, — westchnął Anatol. — Teraz już nie wiem, jak wynaleść zbrodniarzy.

— Nie wyratowano zgoła nic? — zapytał dyrektor jednego z strażaków.

— Nic!

— Utrudnia nam to niezmiernie zadanie, — rzekł dyrektor. — Dziwna rzecz, że w tej sprawie spotyka nas jeden zawód po drugim!

ROZDZIAŁ 17.

Lucyan był przerażony chorobą Nory, nie zdarzyło mu się jeszcze nigdy widzieć podobnych objawów nerwowych. Helenka zaś była przekonaną, że Nora umiera.

— Boże! — krzyknęła, biegnąc ku niej, — ona kończy!

— Nie, nie, — odrzekł Lucyan, odsuwając ją lekko.

W tej chwili był on tylko lekarzem. Uniósł ostrożnie głowę Nory i patrzał długo i uważnie w jej twarz, strasz-

nym wykrzywioną kurczem, potem zbadał jej serce i zbladł jak ściana.

— Od kiedy powtarzają się te napady? — szepnął drżącym głosem.

— Od tygodnia mniej więcej, — odrzekła Helenka, — ale tak gwałtowne jak dziś nie były nigdy.

Lucyan badał puls i barwę ust i skóry.

— Był u niej jaki lekarz? — zapytał po chwili.

— O tak, mama zaraz wezwała naszego doktora domowego.

— I co on powiedział?

— Że to blednica, nerwy...

— Zapisał jej jakie lekarstwo?

— Żelazo, krople wzmacniające i proszki na sen.

— Pokaż mi pani te lekarstwa.

Helenka wyjęła dwie buteleczki i pudełko z proszkami z małej szafki i podała wszystko Lucyanowi.

— Wszystko to są lekarstwa nieszkodliwe i ogólnie znane, — rzekł.

Otworzył jednak buteleczki, wziął łyżeczkę i skosztował zawartych w nich płynów.

— Jedno i drugie dobre, — szepnął, — obejrzymy teraz proszki.

I rozwinąwszy jeden z papierków, patrzał uważnie na biały, lśniący proszek, a wysypawszy odrobinę na palec, przyłożył go do ust.

— Boże Wielki! — krzyknął nagle przerażony, — w tym proszku jest trucizna!

— Trucizna? — zapytała Helenka, jak gdyby go nie była zrozumiała.

— Tak, ale przedewszystkiem trzeba teraz ratować Norę, a potem zobaczymy, co nam uczynić wypadnie!

— Można ją ocalić?

— Mam nadzieję, że tak, kilka dni później byłoby to już niemożliwem. Muszę natychmiast posłać do apteki po nowe lekarstwo.

Drżącą z przerażenia ręką napisał receptę i wręczył ją Helence.

— Każ pani zanieść ją do najbliższej apteki, — rzekł, — chodzi tu o każdą chwilę — niebezpieczeństwo bardzo jest groźne.

Helenka wybiegła spiesznie i posłała służącego do miasta, sama zaś wróciła do chorej, zawsze jeszcze nieprzytomnej.

— Dajmy jej teraz pokój, — rzekł Lucyan, — to zemdlenie prawdziwem jest dla niej dobrodziejstwem. Nie czuje żadnego bólu.

— Pójdę po mamę...

— Nie, im mniej osób w pokoju, tem lepiej. Przedewszystkiem proszę panią o zachowanie tajemnicy, co do tej trucizny.

— Czemu?

— Widocznie chodzi tu o jakąś zbrodnię, a ten, kto ją chce popełnić, znajduje się tu, w tym domu.

— Ależ to niepodobno, — krzyknęła Helenka przerażona.

— Jestem o tem najzupełniej przekonany! Bądźmy więc ostrożnymi, nie trzeba nam się zdradzić ani jednem słowem, że wiemy o tem, inaczej zbrodniarz będzie miał czas ratowania się ucieczką.

— Rozumiem!

— Kto podawał proszki Norze?

— Ja sama! Nikt mnie w tem nie wyręczał!

Gdzie były schowane lekarstwa?

— W tej szafce oto!

— Zamykanej na klucz?

— Nie! Ale kto mógł przypuszczać coś podobnego! — zawołała Helenka, załamując ręce. — Nikomu z nas przecież ani na myśl przyjść nie mogło, aby ktoś chciał Norę otruć!

— Kto wchodził do tego pokoju? — pytał Lucyan dalej.

— Mama, ja i nasze służące.

— Nikt więcej?

— Zdaje mi się, że nie! Któżby tu miał wchodzić?

W tejże chwili wrócił służący z lekarstwem, przygotowanem tym razem w innej, bliższej aptece. Lucyan skosztował je najpierw, a potem, pochylając się nad Norą, rozsunął łyżeczką jej mocno zaciśnięte zęby i kazał Helence wlać w usta kilkanaście kropli silnego antidotum.

Z początku damy jej co pięć minut dziesięć kropli tego lekarstwa, mam nadzieję, że po upływie pół godziny odzyska przytomność, rzekł do Helenki.

I rzeczywiście, po piątej łyżeczce zaczęła się Nora poruszać, potem otworzyła oczy i spojrzała na pochylonego nad nią Lucyana.

— Ah, to ty,! — szepnęła z uśmiechem szczęścia. — Jak dobrze, że przybyłeś! Myślałam już, że umrę, nie zobaczywszy ciebie.

— Będziesz żyła, najdroższa, — odrzekł Lucyan serdecznie, — przybyłem w sam czas, aby ci przywrócić życie i zdrowie.

— I szczęście, — dodała Helenka cicho.

Nora zamknęła oczy i leżała znowu nieruchoma.

— Ona teraz spać będzie — rzekł Lucyan. — Potem damy jej znowu lekarstwo, a jutro rano będzie już o wiele lepiej. Ja nie ruszę się ztąd ani na chwilę, jutro zaś po proszę pani, abyś jej nie odstępowała ani na chwilę, i udam się do apteki, w której przyrządzono te proszki. Od tego, czego się tam dowiem, zależeć będzie moje dalsze postępowanie.

ROZDZIAŁ 18.

Służba dworska dowiedziała się wnet o przybyciu gościa do willi Genthod, pani Beaumont więc, nie chcąc narażać Nory na możliwe plotki, postanowiła powiedzieć wszystkim otwarcie, kto jest Lucyan i jaki stosunek łączy go z Norą. Lucyan zgodził się chętnie na to.

Rok żałoby zbliżał się do końca, nie było zatem potrzeby dłuższego ukrywania prawdy, a zresztą Lucyan opowiedział pani Beaumont o zamierzonem otruciu Nory, i dodał, że żadna siła ludzka nie skłoni go do opuszczenia jej dopóty, dopóki się zbrodniarza nie wykryje. Wspomniał też teraz o owem wpadnięciu Nory w rzekę, i skombinował słusznie, że wszystko to było czynem jednej i tej samej osoby, pragnącej śmierci Nory.

— Pojmujesz pani, — mówił — że nie mogę opuszczać Nory. Prześladują ją jacyś nielitościwi nieprzyjaciele — dwa razy zdołałem ją ocalić, lecz kto wie, czy by mi się i po raz trzeci udało. I pomimo serdecznej opieki, jaką pani Norę otacza, nie może ona sama walczyć z tym wrogiem. Zostanę więc przy niej — nie chodzi tu tylko o moje szczęście, lecz o jej życie, i dlatego nie możemy zważać na zwyczaje i względy świata.

— Masz pan słuszność — odpowiedziała hrabina — musisz pozostać u nas i czuwać nad Norą, którą kocham jak własną córkę!

— Dziękuję pani — zawołał Lucyan z wdzięcznością.

— Ale stawiam jeden warunek — uśmiechnęła się hrabina.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Pamiątka Zlotu Okręgu VII i X Nadreńskiego i Nadr.-Westfalskiego Sokołów polskich w państwie niem. odbytego dnia 17-go czerwca 1906 r. w Winterswijk w Holandyi.

Chwila spoczynku w czasie próby ćwiczeń laskami. W środku znak sokoli z dwoma przybocznymi; z prawej strony znaku d. Jan Barański, prezes Okręgu X z biało-czerwoną opaską na lewem ramieniu. Tak samo z lewej strony d. Franciszek Nowak, prezes Okręgu VII. Przed nim bez maciejówki d. Julian Lange, delegat Wydziału Związku i Głównego Grona technicznego z trąbką u pasa w dzielnej a swobodnej postawie. Na lewej stronie obrazu d. Ryba, naczelnik okręgu VII-go w mundurze z opaską biało-niebieską na ramieniu. Drużyna ćwiczących liczyła około 350 dzielnych Sokołów. Otaczają ją druhowie niećwiczący i gościnni obywatele holenderscy.

DZIAŁ ILLUSTROWANY.

Rocznica Grunwaldu.

(Wspomnienie historyczne).

Za lat cztery upłynie pół tysiąca lat od wielkiego pogromu krzyżackiego na polach Grunwaldu. Co będzie za lat cztery, gdy na dziejowym zegarze wybije 500-lecie Grunwaldu? Nikt z nas oczywiście przewidzieć nie może, ale kto wierzy że... *fortuna variabilis* a... *Deus mirabilis* — szczęście zmienne, a Bóg cudowny — jak mawiali pradziady, dziady i ojcowie, ten ze spokojem patrzy w przyszłość wymiaru sprawiedliwości Bożej, krzepiąc się rozpamiętywaniem faktu historycznego tej doniosłości, jakim był dla całej Polski i dla całej Słowiańszczyzny pogrom grunwaldzki. Uprzytomnijmy sobie w 496-tą rocznicę ów pamiętny dzień 15-go lipca.

. . . .

Rozpoczęła się wojna w roku 1409. Krzyżacy zajęli ziemię dobrzyńską [1]) i spustoszyli ją. Król Władysław Jagiełło zebrał ogromne wojsko i wyruszył przeciw nim. Do wojsk polskich przyłączyły się hufce litewskie, ruskie i jeden czeski, w którym walczył później sławny Żyżka, zwolennik Husa. Dowodził polskiem wojskiem, którego było 51 pułków, Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski; 40 pułków litewskich [2]) prowadził książę Witold, naczelne dowództwo nad całem wojskiem miał król Władysław. Z wysokiego pagórka ukazywały się Krzyżakom te olbrzymie wojska, gdy z Jeżewa podążyły do Bądzynia nad rzeką Wkrą.

Dnia 9-go lipca 1410 r. stanęły już wojska na nieprzyjacielskiej ziemi. Rozwinięto chorągwie hufców, a król ująwszy sztandar z białym orłem w koronie, ukląkł i tak się modlić począł:

— Ty co najskrytsze myśli, wprzódy nim je śmiertelny człowiek powziąć zdoła, przenikasz, o wszechmocny Boże, Ty widzisz, że niniejszą wojnę niechętnie zaczynam, w Twej jedynie zaufany pomocy.... Ty Boże sprawiedliwy bądź obrońcą i mścicielem dobrej sprawy, a krew przelana niech spada na nieprzyjaciół naszych!

[1]) Rościli sobie prawo do ziemi dobrzyńskiej, gdyż dawniej zastawił im ją Władysław opolski, posiadający także ziemię kujawską.

[2]) Nie da się dokładnie oznaczyć, jaka była liczba wojska tak z jednej, jak i z drugiej strony; tyle tylko można wiedzieć, że każda miała przeszło 100,000 ludzi.

Zapłakało całe wojsko ze wzruszenia, a z szerokich piersi rycerzy popłynęła ku niebu wspaniała pieśń św. Wojciecha:

„Boga rodzica Dziewica,
Bogiem sławiona Marya!“

Dnia 15-go lipca 1410 r. stanęły oba wojska naprzeciw siebie pod Grunwaldem i Tannenbergiem. [3]) Po odprawieniu mszy św. uszykowały się do boju hufce Jagiełły.



Władysław Jagiełło.

Prawe skrzydło zajął Witold z Litwinami, Rusinami i Tatarami, na lewem stanął Zyndram z Maszkowic z Polakami, w środku ustawili się starzy i doświadczeni rycerze. Król na cisawym koniu objeżdżał szeregi i zachęcał do męstwa. A z drugiej strony Krzyżacy przypatrywali się tym wojskom z lekceważeniem i naśmiewali się z nich, mówiąc:

— Niema strachu, więcej u Litwinów w obozie łyżek aniżeli zbroi!

Do króla przystąpili dwaj posłowie krzyżaccy i podali mu dwa miecze.

Szyderskie były ich uśmiechy i szyderski głos, gdy jeden z nich rzekł do Jagiełły:

— Sławny królu, mistrz nasz pruski, Ulryk von Jungingen, przysyła ci te dwa miecze, tobie jeden, a Witoldowi drugi, byście się mieli czem bronić!

A król odbierając miecze, rzekł spokojnie:

— Mieczów mi nie brak, ale przyjmuję i te na znak dobrej wróżby, bo zwycięzony tylko miecze daje!

I wnet uderzono w kotły i bębny, a od Krzyżaków zaczęły się rozlegać strzały armatnie, z których strzelali niedawno wynalezionym prochem, ale kule ich żadnej szkody nie robiły wojskom polskim.

[3]) Grunwald i Tannenberg niedaleko Lubawy i południowej granicy Prus.

Nagle Polacy wznieśli oczy ku chmurom i wołać poczęli ze zdziwieniem:

— Patrzcie jakaś święta postać w górze zachęca nas do walki!

— To patron Polski, święty Stanisław z nieba nam błogosławi!

I z zapałem i otuchą rzucili się do walki, wnet zwarły się obie armie, a w powietrzu rozległ się straszny chrzęst zbroi, szczęk mieczy i łamanie się kopii. Nie mogli znieść gwałtownego natarcia mocno uzbrojonych Krzyżaków Litwini i Tatarzy i cofać się poczęli, ale poparli ich Polacy. W tem pod pagórkiem zrobiło się zamieszanie około króla. Śmiały jeden Krzyżak, nazwiskiem Dipold Kiekieritz, skoczył na króla z włócznią i byłby go niechybnie przebił, ale Zbigniew Oleśnicki [4]) odbił pchnięcie swą włócznią, a król zaraz ciął silnie Krzyżaka mieczem w samo czoło.

W tej bitwie ponieśli Krzyżacy niesłychaną klęskę, sam wielki mistrz Ulryk poległ i blisko 40,000 wojska Krzyżaków. Z 700 rycerzy zakonnych pozostało tylko 15. Samych chorągwi krzyżackich zdobyli Polacy 51. Rozrzewniony król zapłakał szczerze nad trupem walecznego a zuchwałego Ulryka von Jungingen.

W walnej bitwie pod Grunwaldem rozstrzygnął się los całego wschodu Europy. Polska odniosła jedno z największych zwycięstw wieku XV., a co ważniejsza, osiągnęła je sposobem chrześcijańskim i ze zwyciężonymi po chrześcijańsku się obeszła. Krzyżacy, chociaż poparci przez całe Niemcy, pobici i złamani tą klęską, już się więcej nie podnieśli. Od czasu Chrobrego i Krzywoustego nie otrzymał zaborczy germanizm takich ciegów, jak w tej bitwie. I tu można zastósować pieśń starożytną:

„Tak ci Pan Bóg hardość traci,
A pokorę zawżdy płaci,
Sprawiedliwość w bitwie wzmoże;
Daj tak zawżdy wygrać Boże!“

Po tem świetnem zwycięstwie zdobywał król jeszcze niektóre zamki, potem zawarł pokój z Krzyżakami i powrócił do Krakowa. Przyjmowano go tam bardzo uroczyście, odprawiono dziękczynne nabożeństwo w kościele

[4]) W nagrodę za to ocalenie został później biskupem krakowskim (1423 roku).

na Wawelu, a chorągwie zdobyte na Krzyżakach zawieszono na ścianach kościoła.

* * *

Pisząc o pogromie krzyżackim pod Grunwaldem, zamieszczamy jednocześnie rycinę zamku krzyżackiego w Malborgu i dołączamy krótkie objaśnienie historyczne tej stolicy zakonu krzyżackiego.

Malborg (Marienburg) leży nad Nogatem, dawna stolica województwa tego nazwiska, obecnie miasto powiatowe, 5 mil na wschód połud. Gdańska, zbudowane w r. 1302 w miejscu, gdzie był zamek obronny pruski Zantyr. Podług świadectwa Gwagnina wystawili Krzyżacy tutaj w r. 1381 zamek warowny wieżami, przekopami i wałami umocniony: liczony przedtem między najmocniejsze twierdze w Europie. Warownie jednak były zbudowane na dawny sposób, przed wynalezieniem dział ognistych używany, gdyż z roku 1605 są świadectwa, iż zamkowi temu na fortykacyi ówczesnej już zbywało; był to jednak, jak z opisów Voigta widać, ogromny gmach na 3 podzielny warownie, gdzie wprzód mistrzowie krzyżaccy, a potem starostowie czyli rządzcy ekonomii królów polskich mieszkali, garnizon mocny, i niewolników nieprzyjacielskich mieścili.

Po zwycięstwie pod Tanenbergiem i Grunwaldem poddały się Polakom całe Prusy; tylko zamek Malborski, stolica zakonu, bronił się jeszcze. Przymuszony potrzebą kommendor Henryk de Plauen wyszedł do króla, ofiarując pokój i ustąpienie ziemi pomorskiej, chełmińskiej i michałowskiej. Odrzucono te ofiary za radą Zbigniewa Brzezińskiego, marszałka królewskiego. Urażony Henryk de Plauen, odpowiedział z gniewem, że nie przyjęto tak zyskownych ofiar: „rozumiałem, że się przysłużę, ale ponieważ wam i królowi przywidziało się inaczej, więc i Malborga i innych miast nie poddam, chyba pierwej mi kto na gardle usiędzie.“ *) Odpór mężny w obronie, opieszałość w oblężeniu zamku, odjazd Witolda, nieczynność króla, a nareszcie i różność zdań w radzie sprawiły to, że nie dobyto Malborga. Nadeszły posiłki W. mistrzowi z Inflant i Niemiec, odmieniło się szczęście i nastąpiła inna rzeczy postać. Król znużony odstąpił od oblężenia, właśnie gdy się miasto poddać miało. Kazimierz Jagiellończyk, wypłaciwszy żołd żądany żołnierzom krzyżackim, zamek ten, w którym stolica była potęgi krzyżackiej, jako głowę ich posiadł w r. 1460. Szwedzi zdobyli miasto 1626, poraziwszy wojska polskie; w roku 1656 dostało się powtórnie w ich ręce, a Karól Gustaw na zamku tamtejszym przyznał księstwo pruskie elektorowi brandenburskiemu, prawem dziedzicznem, aby tylko Polaków wspólnie z nim wojował. Jan Kazimierz odrywając elektora od związku z Szwedami, zmuszony był to nadanie potwierdzić.

W nowszych mianowicie czasach wzniósł się i powiększył Malborg, a zamek krzyżacki do dawnej świetności i porządku przywrócono. *P. L.*

*) Bandtkie hist. T. II



Rycerz krzyżacki. Według rysunku M. Górskiego.

Obrona Częstochowy.

Wspomnienie dziejowe w 250 rocznicę.
Napisał Fr. Jaworski.

(Dokończenie).

Tak zaczęło się to dziwne, bezprzykładne w dziejach oblężenie słabego klasztoru i dzielna jego obrona. Huczały działa ze stron obu, grzechotały strzały z muszkietów (strzelb), a równocześnie biegali posłowie od Szwedów z groźbą i żądaniem poddania się, szły korne a stanowcze odpowiedzi z klasztoru. W chwilach, kiedy ucichły się gromy spiżowych dział, pokładły się dymy prochowe, dochodził Szwedów głos muzyki kościelnej, grającej pobożne melodye i słyszeli śpiewy procesyi i widzieli blaski monstracyi, obnoszonej po murach, dla dodania zachęty i wytrwania oblężonym. A czasami głosy te pobożne unosiły się ponad największą wrzawę wojenną — słuchał ich Szwed zdumiony, słuchali z żałością polscy żołnierze, co po niewoli mu służyć musieli.

W takich chwilach woń krwi przelanej, zmieszana z prochem, z gorącym a płomiennym oddechem wojny rozgrzewała mózgi, niezwykłe a nieznane cienie miotała przed oczy. I zdawało się oblegającym, że oto wieże klasztorne wydłużają się w jakieś nieziemskie, olbrzymie kształty, że oto cała Jasna Góra jakby się ze swoich skalistych posad urwała i zawisła w powietrzu. — Niekiedy znowu pokazywali sobie żoł-

nierze szwedzcy dziwne zjawisko: Pani jakaś w niebieskim płaszczu szła ponad mury w jasności wielkiej i majestacie, a takiej chwili kula nie czepiła się murów klasztornych, odskakiwały pociski armatnie, granaty nie wybuchały. Strach blady przelatywał szeregi nieprzyjacielskie. Jakoż mamy walczyć z klasztorem, co ma nieziemskich obrońców — wołano — jakoż walczyć z „czarami" i cudami może żołnierz, człowiek zwykły?

Miller jednak nie ustawał, coraz to nowym ogniem zasypując „kurnik". Z pięciu szańców leciał grad kul i granatów, ale kule ogniste bezsilnie jakoś kładły się u stóp kościoła, przelatywały szczyty kościelne, padając w przeciwległe okopy nieprzyjacielskie. I znowu dziw wielki ogarniał szeregi obrońców na widok, jak nieprzyjacielskie kule stawały się podobne do much brzęczących, utrapionych, ale równie nieszkodliwych, jak dziecięcia nawet w kolebce nie uraził granat ognisty, który wpadłszy przez okno zagasł, jak gaśnie świeca na ołtarzu, gdy ją dziadek kościelny gasidłem przykryje. Więc też ufnych w niebieską protekcyę obrońców duch rozpierał rycerski. Pod dowództwem Piotra Czarnieckiego ważyli się nawet na wycieczkę zbrojną za mury, a wpadłszy na nieprzyjaciół wielu ich trupem położyli i wielki postrach i zamieszanie do samego zanieśli szwedzkiego obozu.

Ale ludzka natura chwiejna jest z dnia na dzień różnym uczuciom podległa, zwłaszcza w czasie wojennym w obliczu śmierci, na żniwo ludzkiego życia chodzącej. Więc też wiadomość, że Miller posłał po wielkie armaty, z których dwudziestoczterofuntowe kule wylatywać miały, jak również słowa jego posłów — zwykle oddanych Szwedowi Polaków, odbierające nadzieję wszelaką — zasiewały zwątpienia jad i chęć wydania twierdzy, za cenę ocalenia własnego życia. Czarna mara strachu pełzała kilkakrotnie po murach częstochowskich, a z niej głos się rodził — jakoż wytrzymamy w tak wielkiem przedsięwzięciu?

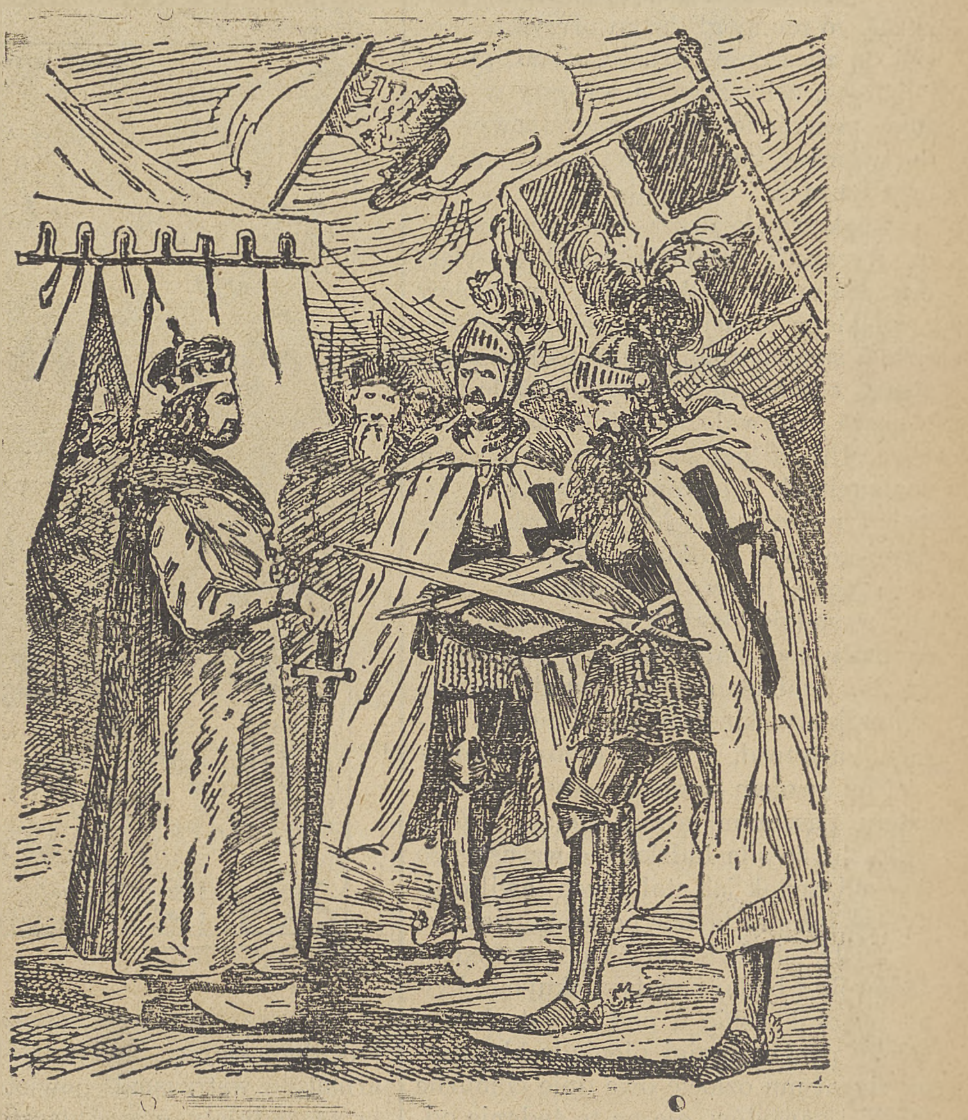
Jak kamień w wodę wrzucony coraz szerzej marszczy powierzchnię wodną i koła faliste rozgania na wszystkie strony, tak duch bojaźni szerzył się między garstką obrońców, a jad sączony pięknemi słówkami nibyto przyjaciół Jasnogóry, którzy przychodzili z obozu szwedzkiego dla perswazyi i układów, odrętwiał serca i piersi na śmierć gotowe. Przynosili ci posłowie obłudne słowa zniechęcenia, malując w ponurych barwach położenie Rzeczypospolitej, to niezwyciężoną potęgę Karola Gustawa, to wreszcie straszne skutki zniszczenia świętego przybytku, którego nieprzyjaciel pewnie żywić nie będzie, skoro go siłą dostanie i wielkiemi armatami, — kamienia nie zostawi na kamieniu.

A zdrada rodzić poczęła zdradę, bo oto część załogi klasztornej coraz otwarciej pomrukiwała o wydaniu Jasnogóry Szwedom i zaniechaniu beznadziejnej walki. Szczęściem doszły o tem na czas słuchy do ks. Kordeckiego, który zapobiegł nieszczęściu przez wydalenie najbardziej opornych a rozt czenie baczne straży nad resztą.

Wtem i sprawa układów, których nie zaniedbywał ks. Kordecki, stanęła na ostrzu miecza. Miller przysłał klasztorowi ostateczne swoje żądania, między któremi znajdowały się dwa najważniejsze, a mianowicie, że „klasztor jasnogórski podda się pod opiekę króla szwedzkiego, wyrzekając się wszelkich stosunków z Janem Kazimierzem", a po drugie, że „klasztor przyjmie dla obrony swojej załogę 150 żołnierzy szwedzkich".

Kordecki odpowiedział odmownie, oświadczając, że nie pozwoli pod żadnym warunkiem, aby noga szwedzka postała w klasztorze. Co do pierwszego zaś warunku to w dzisiejszych czasach przed kilku miesiącami zaledwie uczony historyk szwedzki Th. Westrim odkrył oryginalny list ks. Kordeckiego w szwedzkiem archiwum państwowem, z którego to listu wynikałoby, że załoga klasztorna gotową była nawet oddać się pod opiekę Karola Gustawa, pod warunkiem jednakże stanowczym, że stopa żołnierzy szwedzkich heretyków nie skala miejsca świętego. Ale Szwedom bardziej chodziło o bogactwa klasztorne, aniżeli o poddanie się pod opiekę ich króla, więc Miller tego warunku nie przyjął, a Kordecki postanowił raczej w gruzach zagrzebać klasztor, aniżeli go wydać w świętokradzkie ręce. W ten sposób chwila wahania się ks. Kordeckiego, który czując ogromną nad sobą odpowiedzialność, miał może przez krótką chwilę zamiar uratować klasztor za cenę owej „opieki" szwedzkiej — ta chwila, która tak łatwa do wytłomaczenia — nie wpłynęła wcale na umniejszanie zasługi ks. Kordeckiego, ani też na dalszy przebieg wypadków.

A wypadki te rozwijać się poczęły z szaloną szybkością. Miller zrzucił z siebie maskę układności i życzliwości, uwięził i śmiercią zagroził dwom zakonnikom, którzy przyszli do niego w poselstwie z klasztoru, ogarnął podstępem znaczny oddział wojska Czarnieckiego Stefana, wyprowadzony z Krakowa, i począł nim straszyć oblężonych,



Dwaj posłowie krzyżaccy przynoszą Jagielle dwa miecze.
(Patrz artykuł: „Rocznica Grunwaldu.")

a wreszcie po wyczerpaniu wszelkich środków rozpoczął dnia 16 grudnia gwałtowną bombardacyę klasztoru od północy i wschodu, ciskając gradem kul dwudziestoczterofuntowych.

Zdawało się, że ostatnia godzina bije już oblężonym wśród gromu rozpalonych kul, opadających kawałami murów. Wszystko rzuciło się do obrony, ci zaś, co nie mogli broni utrzymać, poszli do znoszenia chrustu, ziemi, gnoju i drzewa, żeby zawalić wyłomy w murach uczynione, albo zbierali wpadłe do twierdzy kule, lub wydzierali zaryte w murach.

I tak trwało przez dwa dni. Szwedzi wyrzucili 340 wielkich kul do twierdzy, ale oprócz kilku małych wyłomów i wielkiego hałasu, nie zrobili wielkich szkód, sami natomiast ponieśli znaczne straty w ludziach, prochy im działo największe rozerwały na sztuki, sam synowiec Millera legł na polu walki i wielu znakomitych oficerów. Wódz szwedzki był w rozpaczy. Na jego rozkaz spędzeni górnicy z Olkusza kuli w skałach podziemne lochy dla podłożenia min, aby wysadzić klasztor w powietrze, dochodziły codziennie wozy z prochem i bronią, codziennie też szalały działa i muszkiety, klasztor się chmurą i dymem zasnuwał, a skoro dymy opadły, stał na swojem miejscu, cały, niewzruszony, paszczami armat ziejący. Zdawało się, że siła ludzka nie wzruszy go z posad, że tak jak stał onych chwil wojny, tak też stać będzie po wieki wieków!

Jużby się był stary wódz szwedzki zadowolnił bodaj sowitym okupem, byłby poszedł sobie z pod Częstochowy, gdyby przynajmniej pieniądz klasztorny chciał mu ozłocić owe dnie chmurne klęski i zawodów, ale na to żądanie odpowiedział ks. Kordecki... opłatkami, które Millerowi posłał przez żebraczkę klasztorną Konstancyę.

Nadszedł bowiem dzień Bożego Narodzenia, a z dniem tym święta i radości upływał już piąty tydzień wojennych zapasów. Staropolskim więc zwyczajem posłano generałowi szwedzkiemu z klasztoru opłatki, które do tego stopnia rowściekliły go, że wszystkie wojska swoje pchnął do ostatecznego, a stanowczego szturmu.

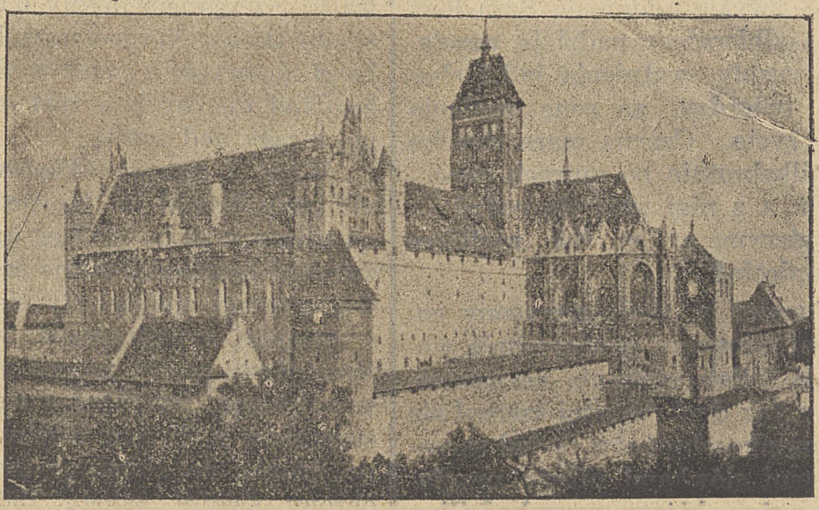
W sam dzień Bożego Narodzenia, 25-go grudnia 1655 około południa poczęły się gradem sypać na klasztor kule ogniste. Niby drapieżne ptactwo spadały na dachy, dziedzińce, korytarze klasztorne, niosąc wszędzie postrach i zniszczenie. Zdawało się strwożonym, że cały klasztor runie wnet na ich głowy i dla tego każdy, kto tylko mógł, spieszył na wały w tej myśli, że lepiej życie swe drogo sprzedać nieprzyjacielowi, aniżeli bezczynnie śmierci oczekiwać. A Kordecki razem z Zamoyskim nie schodząc z murów dawali przykład nieustraszonego męstwa i odwagi nawet najsłabszym i najtrwożliwszym.

Krótki, zimowy dzień miał się już ku schyłkowi, a bój zażarty trwał ciągle na wszystkich stanowiskach. Wtem huk donioślejszy nad wszystkie głosy armatnie wstrząsnął powietrzem, tak, że aż zadrżały mury klasztorne, a za chwilę cisza śmiertelną zaległa szeregi nieprzyjacielskie. To drugie największe działo szwedzkie rozerwane prochem rozleciało się ze strasznym hukiem w drobne kawałki, siejąc dokoła popłoch i spustoszenie.

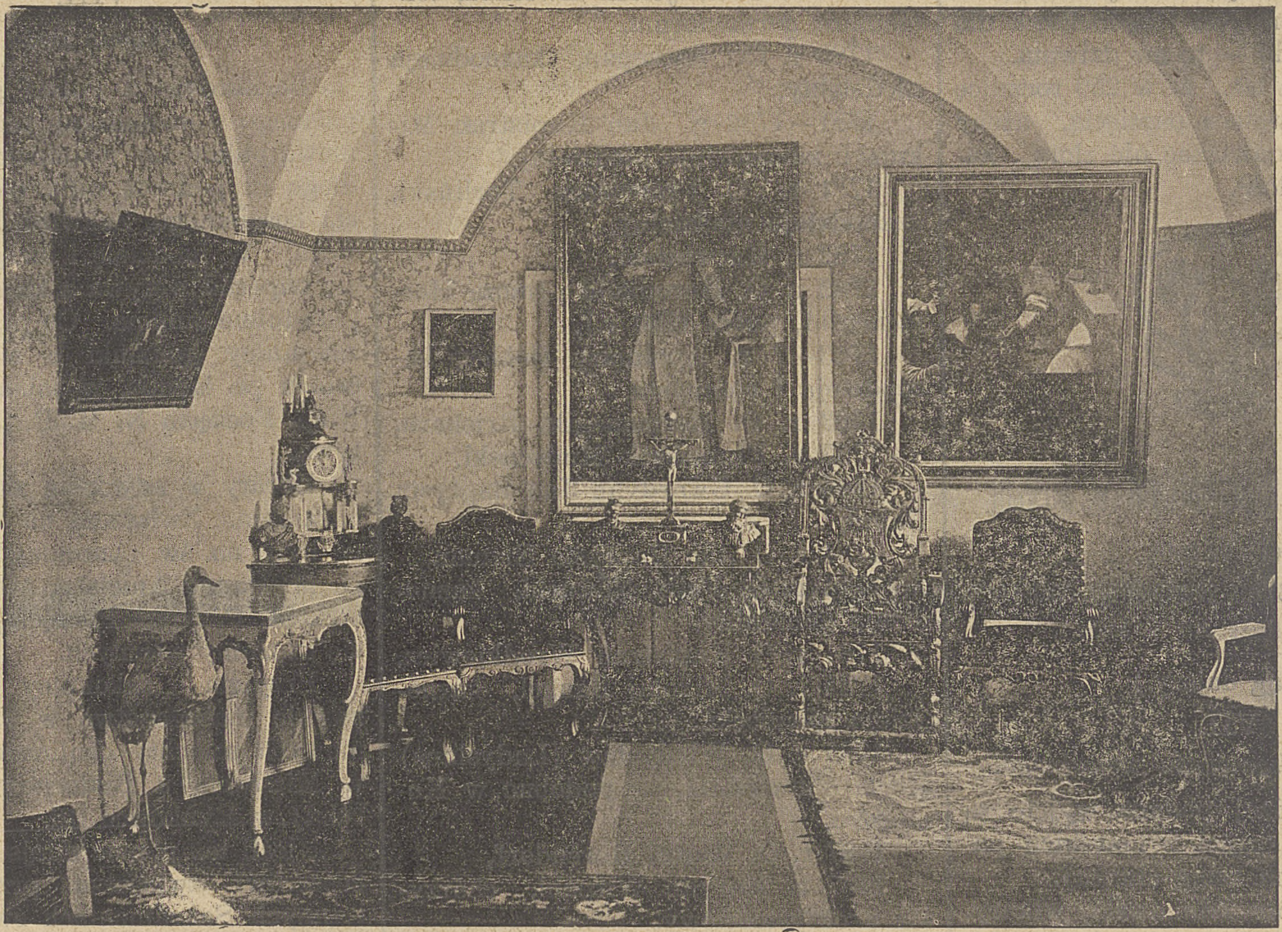
Na ten dzień dość było walki. Znużone wojska szwedzkie legły na spoczynek, cisza też zapanowała w klasztorze. Ale skoro błysnął następny poranek, dzień św. Szczepana, dziwne jakieś odgłosy z klasztoru rozległy się po całej okolicznej równinie. Zdawało się Szwedom, że to jakaś radosna muzyka, grzmiąca wiwaty, a... potem gęsta salwa ze strzelb i z muszkietów. Już tak był nieprzyjaciel przyzwyczajony do celności strzałów klasztornej załogi, że natychmiast popłoch ogarnął jego szeregi, a gromady ludzkie biedz poczęły na oślep przed siebie, jakby oszalałe ze strachu. Dopiero oficerowie z pod polskich chorągwi wytłomaczyli, że to



(patrz artykuł „Rocznica Grunwaldu.“)



Zamek krzyżacki w Malborgu.
(Patrz artykuł „Rocznica Grunwaldu.“)



Pokoj obecnego przeora O. Paulina, ks. Rejmana w klasztorze jasnogórskim. W głębi portret księdza Kordeckiego.

dzień imienin Zamoyskich, ojca i syna, obchodzony jest tak hucznie i radośnie. Dziwił się stary generał, że oblężeni tak dużo posiadają prochu, iż go marnować mogą na wiwaty — dziwili się jego oficerowie i wszystek żołnierz takiej rycerskiej fantazyi mnichów.

I dumał przez dzień cały generał Miller, a wieczorem kazał się wojsku swojemu spakować i cicho ze wstydem uszedł sam do Piotrkowa, Wrzeszczowicz do Wielunia, Sadowski ku Sieradzowi, ks. Heski zaś wrócił do Krakowa.

Dnia 27-go grudnia nie było już Szwedów pod Częstochową.

Jeżeli pamiętna ta obrona uznaną została jednomyślnie przez współczesnych za cud, który uchyla się z pod wszelkiej ludzkiej rachuby, to jej skutki dla całego narodu naszego okazały się podobne do iskry pioruna, co ogień rozpala — wielki, ożywczy ogień zapału. I wyszło z onego ognia świętego odrodzenie narodu w chwili tak czarnej, że niewiele podobnych zapisały nawet nasze chmurne a wielkie dzieje.

Rzecz dziwna zaiste, że w miesiącach sromu i hańby, kiedy cała Rzeczpospolita po własnej woli kładła się u stóp najeźdzcy — ci tylko, co ani jej rycerstwem byli, ani tarczą ochronną, ani potęgą — mieszczaństwo i chłopi w różnych okolicach porywali się przeciwko najazdowi. I jeszcze rzecz dziwniejsza, że to rycerskie, wojenne powołanie zbudziło się nagle w piersi mnicha ks. Augustyna Kordeckiego, że nie żadna twierdza, ale daleki od wojny klasztor poważył się stanąć przeciwko potędze szwedzkiej i z pięciotygodniowego oblężenia wyszedł nie tylko cało, ale z największą chlubą. A to zwycięstwo mnichów nad dobrze zorganizowaną siłą zbrojną stało się zadatkiem czynów górnych i lotnych, na które ze zdumieniem patrzyła cała Europa. Wrócił więc król Jan Kazimierz z wygnania wbrew wszelkim przewidywaniom i ten król złożył w katedrze lwowskiej wiekopomne śluby, które przyszłość ojczyzny oparły na barkach ludu wiejskiego, o czem naonczas nikt w całej Europie pomyśleć się nie ważył; ta sama szlachta, która ochotnie wyrzekła się króla, teraz związała się konfederacyą w Tyszowcach do jego obrony. Czynów dokonał wiekopomnych Stefan Czarniecki, Paweł Sapieha, a całe dzielne, rycerskie plemię stanęło do walki o wolność ojczyzny.



Pomnik ks. Kordeckiego w Częstochowie.

Wszystkie te jednak wysiłki bohaterskie żyją dziś pięknem, ale odległem tylko wspomnieniem. Ale bo też 250 lat mija od czasu, kiedy te wiekopomne zdarzenia rozgrywały się na naszej ziemi — pięć ludzkich pokoleń pokładło się już na cmentarzysku wieczności. Jedna tylko obrona Częstochowy żyje wciąż jeszcze takim jasnym blaskiem, że promienie z niego złocą natchnione pióra pisarzy największych, a sama pamięć owych chwil bohaterskich łzy wyciska, zapałem serca ogarnia — prawie tak samo, jak u tych ludzi, co żyli przed nami — 250 lat temu.

Ktoś obcy możeby nie całkiem zro-

żumiał taką pamięć, nam jednak, którzy wiemy, czem jest Częstochowa dla polskiego narodu — to nie dziwota.

Nie dziwota też, że w 250 rocznicę zwracamy się wstecz pamięcią, ażeby do przeszłości nawiązać nić złotą... nadziei na przyszłość.

Franciszkanie i Bernardyni w Nowem nad Wisłą.

Przyczynek do historyi południowego Pomorza.

Napisał **Konstanty Kościński.**

(Ciąg dalszy.)

VII.

Bernardyni konwentu nowskiego.

(Nazwiska poniżej podane wyjęte są po największej części z nowskich parafijalnych ksiąg chrztu).

1664 r. Piotr Zdunowski, wikary.

1687 r. O.[1]) Chrystofor Ostrowski, wikary,

1690/1 r. br.[2]) Kapistran, wikary,

1708 r. O. Melchizedech, ordynaryusz,

1756 r. Erazm Kośnicki,

1759 r. br. Wincenty Borowicz, zakrystyan bractwa Różańca św.[3])

1769 r. Elizary Madeyski,

1771 r. O. Guzowski,

1771 r. O. Justyn,

1771 r. O. Gwido Bojanowski,

1772 r. O. Floryan Waliszewski,

1772 r. br. Jan Baptista Morkowicz, wikary,

1773 r. O. Wiktor Katirski,

1773 r. O. Władysław (Ladislaus) Tyel,

1774 r. Gracylian Brudzyński,

1775 r. Franciszek Muśliński, wikary,

1776 r. Fortunat Bryx, zakrystyan,

1776—1782 r. O. Władysław Kaczyński, gwardyan,

1776 r. O. Marcyan Langanke, gwardyan,

1776—7 r. O. Ambroży Hepner,

1776—7 r. O. Mikołaj Bastkowski,

1776 r. br. Maryan Klaszewski,

1777 r. O. Tadeusz Meszeński, chórzysta,

1777 r. Hieoronim Thyell,

1779 r. Felicyan Zenze, kaznodzieja missionarski,

1779 r. Franciszek Felicissimus Harwartt,

1780 r. O. Wojciech Kwetnau, concionator germanorum,

1780 r. O. Szczepan, kaznodzieja niedzielny,

1781—1782 r. Jan Kapistran Mikulski, kaznodzieja niedzielny,

1781 r. O. Franciszek Torliński, kaznodzieja niedzielny,

1782 r. Karwowski,

1782 r. O. Herminold (może Hermenegild, patrz 1783 r.),

1783—7 r. Apolinary Gebler, kaznodzieja i chórzysta,

1783 r. O. Hermenegild Briskorn,

1783 r. Franciszek Mudzeński,

1784 r. O. Gwardyan Jan Baptysta Daum,

1784 r. O. Jan Baptysta Erman,

1784 r. O. Felix Nowacki, kaznodzieja generalny,

1784 r.[4]) Kapistran Wrodkiewicz,

1785 r. O. Mikołaj Bangel, kaznodzieja niemiecki,

1785 r. O. Władysław (Ladyslaus) Ruch, spowiednik, † podobno w Komorsku,

1787 r. O. Marcel Herendorf,

1787 r. Maryan Witpahl, chórzysta uroczystościowy,

1788 r. Kaucyusz Krzemkowski, kaznodzieja uroczystościowy,

1789 r. Konstanty Beuer, kaznodzieja niedzielny,

1794 r. Largus Plonczyński, kaznodzieja,

1798—1804 r. Linus Mączyński, chórzysta niedzielny.

1800—1805 r. Tomasz Pochwytowicz,

1804 r. Izydor Zaboklicki,

1808—1809 r. Franciszek Xawery Sieiek,

1808—1810 r. Donat Lawikowski, kaznodzieja,

1811 r. Feliks Hipel,

1812 r. Kapistran Dzierzyński,

1822 r. O. Roman Wax, jubilat, † 17. 6. 1822.

Podług wizytacyi kanonika Trochowskiego znajdowało się w roku 1764 w konwencie nowskim zakonników 19; przeżył ich wszystkich O. Roman Wax, który zamyka szereg Bernardynów nowskich.

Z osób świeckich służyli w klasztorze:

1791 r. Jakób Jaworski, kucharz,

1791 r. Jan Rycki, ogrodowy,

1803 r. Józef Kauszka, organista.

Ostatnimi mieszkańcami, którzy w murach klasztornych schronienie znaleźli, były dwie niewiasty:

Małgorzata Woleńska, wdowa, † 1829 i

Katarzyna Walter, wdowa, † 1830 roku.

VIII.

Chwała Boża.

Bernardyni z Polski przez Konopackiego sprowadzeni przyczynili się niewątpliwie do rozbudzenia podupadłego tu podczas walk religijnych życia kościelnego. Zakwitła znów chwała Boża. W niedzielę i święta odbywała się naprzód wotywa z kazaniem, przed południem summa. Co piątek śpiewali zakonnicy godzinki o siedmiu boleściach po łacinie, w sobotę w kaplicy Niep. Poczęcia N. M. P. „kurs" z wotywą.

Roraty w adwencie zawsze były z kazaniem. Zwłaszcza na odpusty, które były na św. Antoniego, św. Annę, N. M. Pannę Anielską, św. Franciszka i N. M. P. Niep. Poczęcia, gromadziły się tu tłumy wiernych.

Przytem zakonnicy odprawiali zwykle nabożeństwo w kaplicach domowych szlachty okolicznej, tak n. p. w Mieliwem u Białochowskich (1764 roku) w Rynkówce itd.

Nieśli też pomoc miejscowemu proboszczowi zwłaszcza przy chrztach i innych Sakramentach św.[5])

Roztaczali też opiekę nad bractwami kościelnemi u fary. Tak n. p. zakonnik Borowicz 1759 r. był zakrystyanem bractwa Różańca św.

Wyręczali też proboszczów, jeśli ci na probostwie nie mieszkali n. p. ks. Michała Kospoth-Pawłowskiego, proboszcza komorskiego (1780—1808), który zwykle w dobrach swych Rulewo przestawał.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Marsz Sokoła warszawskiego.

Hej! bracia Sokoły zanućmy w pochodzie,
Niech pieśnią rozlega się echo!
Gdy głos nasz obudzi chęć pracy w narodzie,
Ojczyźnie zadźwięczy pociechą.
Więc śmiało, pierś naprzód niech głośno brzmi śpiew
Na sławę tej ziemi, tych lasów i niw.

W sokolim pochodzie przez sioła i grody,
Po starym w nich goszcząc zwyczaju,
Wyrosłe z serc ziarna braterstwa i zgody,

[1]) O = Ojciec, Pater.

[2]) br. = braciszek, frater.

[3]) Skrypta bractwa Różańca św.

[4]) 1784 r. był Józef Martz pełnomocnikiem klasztornym w procesie z Zakrzewskim.

[5]) Propter mutationem Parochorum et negligentiam Ministrorum Ecclesiae ab hoc tempore (1691) non sunt annotati neque scripti in aliquo libro, baptisati et copulati usque ad diem 20. 7. 1692. Sed Patres Bernardini hoc tempore administrabant Sacramenta. Zapisek ks. Mayowskiego w księdze kościelnej modrej około 1733 r.

Na skrzydłach rozniesiem po kraju.
I w bujne nam plony wyrośnie ten siew,
Bo każdy nam bratem, w kim polska
wre krew!

Ospały i gnuśny zgrzybiały ten świat,
Na nowe on życia koleje
Z wygodnej pościeli nie dźwiga się rad,
I duch i ciało w nim mdleje!
Hej bracia Sokoły dodajmy mu sił,
By ruchu zapragnął, by powstał i żył!

W niemocy, senności i ciało i duch
Napróżno się dźwiga i łamie,
Tam tylko potężnym i twórczym jest
ruch,
Gdzie wola silne ma ramię.
Hej bracia, kto ptakiem przelecieć chce
świat,
Niech skrzydła sokole od młodych
ma lat!

Więc razem ochoczo w daleki ten lot.
Sposobić nam skrzydła dla ducha.
Nie złamie nas burza, nie strwoży nas
grzmot,
Gdy woli siła posłucha.
Hej bracia, kto ptakiem przelecieć chce
świat,
Niech skrzydła sokole od młodych
ma lat!

Zlot VII i X „Związku Tow. gimn. sokolich w Holandyi.

Towarzystwa polskie stały się dziś widocznie niebezpiecznemi dla państwa pruskiego, albowiem kiedy chcemy urządzić jakiś zjazd lub zlot, musimy gościny szukać po za granicami Prus. Szczęściem my tutaj na obczyźnie nie szukamy gościny tej zbyt daleko. Znajdujemy ją na ziemi holenderskiej.

Pisaliście już, że zlot okręgów VII i X odbył się w niedzielę dnia 17-go czerwca. Pozwólcie, że opiszę go trochę obszerniej. — W pogranicznem miasteczku *Winterswijk* — w Holandyi znajdujemy pożądany przytułek. Przybywamy na miejsce o godz. 6-tej rano. W uroczystym pochodzie w liczbie około 450 udajemy się na wielką salę obywatelską „Festgebouf.“

Po spożyciu skromnego posiłku ćwiczymy. Druhowie z okręgu X dobijają się w zawodach jednostek na sprzętach o nagrody.

O godz. pół dziesiątej wyruszamy na dworzec po druhów, mających przybyć od Dorsten. Przybyło ich wraz z gośćmi około 360. Później jeszcze przybył pociąg od Wesel, przywożąc gniazda, które miały najbliższe połączenie kolejowe.

O godzinie pół do jedenastej zagaił druh Lange z Berlina, jako delegat Wydziału Związku — Zlot. Wita druhów i gości i wyjaśnia w krótkich a treściwych słowach cel Zlotu. Druh Lange kończy zachętą do wspólnej, wytrwałej pracy.

Wyruszamy w wspaniałym pochodzie do kościoła na polskie nabożeństwo, zakupione na intencyą zlotu. — Uroczysty i rzewny nastrój nabożeństwa podniosła niemało nadzwyczaj piękna gra na organach kościelnych pieśni i utworów polskich. Grał dh. Żniński.



Ze Zlotu Okręgów VII i X Sokołów polskich
odbytego dnia 17-go czerwca 1906 r. w Winterswijk w Holandyi.

Na czele pochodu znak sokoli, z dwoma przybocznymi o wstęgach biało-czerwonych. Za sztandarem w pierwszej trójce kroczą delegat Związku d. Julian Lange z Berlina i dd Nowak i Barański jako prezesowie dwóch okręgów. Za nimi w czwórkowej długiej i potężnej kolumnie kroczy kilkaset Sokołów przeważnie umundurowanych. Obraz przedstawia chwilę, gdy Sokoli wkraczają do parku, w którym następnie odbyły się ćwiczenia.

I tak kiedy zabrzmiała potężna melodya pieśni: „Twoja cześć, chwała“, kiedy zabrzmiały piękne akordy tego hymnu kościelnego na chwałę Boga, z tysiąca rozrzewnieniem wezbranych piersi popłynął jeden potężny głos, — głos bólu i skargi na niedolę naszego nieszczęśliwego narodu, potężny głos wiary w miłosierdzie Boże i lepszą przyszłość naszą. — Zdawało nam się, że duch nasz popłynął w strony rodzinne — do naszej kochanej polskiej ziemi... Jakoś słodko płynęły tony muzyki, a z niemi błagalna modlitwa polskiego ludu na obcej ziemi, do tronu Pana Zastępów za nieszczęśliwą Ojczyznę naszą. Dla tego też druhowi Żnińskiemu należy się słuszna podzięka, że grą swoją rozgrzał niejedno serce polskie żarem wspomnień stron ojczystych, miłością Ojczyzny i Boga.

Po nabożeństwie wróciliśmy z sztandarem i muzyką na salę. Tysiące Holendrów przypatrywało się z podziwem uroczystemu pochodowi.

Podczas obiadu, w którym wzięło udział około 300 osób, powitał druh Lange zebranych Sokołów oraz zacne Polki, które za nami podążyły na zlot. Mówca przeczytał nadesłany telegram od Wydziału Związku z Poznania. — Gromkie „Czołem“ było nań odpowiedzią. Następnie przemawiali druhowie Barański, Żniński, Nowak i kilku innych.

Piękne polskie piosenki wykonane przez muzykę p. Pietrygi z Bruchu nagradzała zebrana drużyna głośnymi oklaskami.

Po obiedzie odbyła się na rozległem błoniu przy pięknej pogodzie generalna próba ćwiczeń laskami najprzód okręgu X, a potem VII. Nastąpiły ćwiczenia okręgu VII o nagrody, a w końcu ćwiczenia wspólne laskami obu okręgów. Każdy okręg miał odrębne obrazy; pomimo tego ćwiczenia wypadły wprost świetnie. Po ćwiczeniach odbyły się pochody i wymarsz z boiska obu okręgów.

Nagrody otrzymały następujące gniazda okręgu X: 1) Herne, 2) Ueckendorf, 3) Wanne II. Nagrody osobiste otrzymali następujący druhowie z tegoż okręgu: 1) Kordusik z Herne, 2) Olejniczak z Roelinghausen, 3) Vogt z Herne, 4) Biedrzyński z Herne, 5) Szewczyk z Ueckendorfu i 6) Ślusarek z Wanne I. Dla okręgu VII rozdawano nagrody osobiste: otrzymali je druhowie: Urbaniak, Hałbiński i Ćwiertnia.

O godzinie 8-ej rozpoczęła się zabawa z tańcami. Niektórzy wyjeżdżali wieczorem, inni bawili się do 3 rano opuszczając z błogiem uczuciem gościnną i przyjazną nam ziemię i ludność holenderską.

K. R.



Zwierzęta przeszłości.

(Ciąg dalszy).

Mówiliśmy o życiu skorupy ziemskiej, a pojmowaliśmy je jako tworzenie się coraz to nowych skał na powierzchni ziemi; proces ten trwa ciągle. Zauważyć przytem należy, że materyału na nowo tworzące się skały dostarczają zawsze skały istniejące; musi się więc tutaj odbywać proces dwojaki, o charakterze wręcz sobie przeciwnym: podczas gdy skały, ląd tworzące, ulegają rozkruszeniu, zniszczeniu, gdzieś na dnie wód powstają z ich okruchów nowe osadowe skały; a gdy wskutek wahań skorupy ziemskiej wyłonią się one z pod wody, mogą uledz temu samemu losowi. Jeżeli jednak ocaleją, są dla nas cennym pomnikiem z przeszłości i rzecz oczywista, pomniki takie zachowane na znacznej przestrzeni w różnych częściach ziemi, mogły się utworzyć współcześnie, albo w różnym czasie. Istnieją więc skały starsze, młodsze, najmłodsze, i dlatego mamy prawo mówić, że należą one bądź do wcześniejszego, bądź do późniejszego okresu naszej ziemi.

Określić wiek skały, naturalnie, względnie do wieku skał innych a nie absolutny, nie zawsze jest rzeczą możliwą, w większości jednak wypadków udało się to geologom zrobić. Przedewszystkiem zwrócono uwagę, że skała, która powstała, jak widać, z okruchów innej jakiejś skały, jest od niej niewątpliwie młodszą. Dalej znaleziono w różnych miejscowościach skały, leżące jedne na drugich bez zmiany w takim porządku, w jakim się tworzyły. Nową więc tutaj zyskano wskazówkę, że skały wyżej leżące, utworzone zostały później, niż leżące głębiej.

Te dane już mając, stwierdzono następnie, że skały, w różnym utworzone czasie, niejednakowe zwierzęce szczątki zawierają, że w każdej z nich przeważają liczebnie szczątki jednego jakiegoś, czy kilku gatunków, że wreszcie w skałach powstałych współcześnie, znajdują się szczątki jednakowe. Ważny stąd wyciągnięto wniosek, że rozwój świata zwierzęcego odbywał się w pewnym porządku, że nie wszystkie zwierzęce formy istniały odrazu, że w rozmaitym czasie występowały one na widownię, że nakoniec, jedne formy zwierzęce były długotrwałe, podczas gdy inne pewnych tylko okresów czasu stanowiły własność. W ten sposób pod postacią szczątków zwierzęcych, napotykanych w skale, nowy środek zdobyto do określenia wieku danej skały.

Oto jakiemi drogami kroczył umysł ludzki, gdy, pragnąc się w dziejach ziemi zoryentować, dzieje te na ery, ery na okresy i t. d. podzielił. Cztery takie ery geologowie dzisiaj rozróżniają; jak długo, mierząc latami, każda z nich się ciągnęła, nie jest nam wiadomo, nie ulega jednak wątpliwości, że co najmniej z dziesiątkami tysięcy lat mamy do czynienia tutaj: te ogromne skały osadowe, które dzisiaj dokoła widzimy, ogromną również przestrzeń czasu na swe utworzenie musiały pochłonąć.

Za pierwszą i najstarszą erę — erę archaiczną, uważamy ten peryod w dziejach ziemi, w ciągu którego powstały skały, za najstarsze, za pierwotne uznane, jak n. p. gnejsy, granity, łupki krystaliczne i inne. Te skały archaiczne-pierwotne, i jakościowo, ilościowo przedstawiające się bardzo pokaźnie, utworzyły się niejednocześnie; dlatego też rozróżniamy w erze archaicznej dwa okresy: wcześniejszy, Laurentyjski i późniejszy, Huroński. Do pierwszego należą skały najstarsze, jak gejsy, do drugiego skały młodsze, jak łupki krystaliczne, łupki gliniane, niektóre marmury i inne. Te skały archaiczne utworzyły się w ten, jak pamiętamy, sposób, że gdyby nawet istniało już wówczas życie organiczne, to przedstawiciele jego nie mogliby pod żadną postacią przechować się w tych skałach. Wprawdzie zapał naukowy, a po części fantazya, pozwoliły uczonym odszukać w niektórych skałach ery archaicznej ślady organizmu, ochrzczonego nazwą Eozoon, ale istnienie tego praczłonka rodu zwierzęcego, jak dotąd, nie wzbudziło wiary.

A. Kudel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

† Albert Sorel.

W tych dniach umarł w Paryżu znakomity historyk francuski Albert Sorel. Był on jednym z tych nielicznych dziś wybitnych Francuzów, którzy zawsze szczere żywili sympatye dla naszego nieszczęśliwego narodu. Wraz z nim znika z widowni jeden z najwybitniejszych i najbardziej wykształconych historyków współczesnych. Ale nie był on jedynie jednym z tych historyków, których dzieła pozostaną, — był jeszcze przez długie lata, od r. 1872 pedagogiem; jako profesor historyi dyplomatycznej w szkole nauk politycznych gromadził dokoła swej katedry i wykształcił cały szereg mężów politycznych. Uczeń Tainea wytworzył grono uczniów własnych, którzy z równym zapałem słuchali jego nauk, jak on nauk swego mistrza słuchał. A miał metodę nauczania wielce zajmującą, niezwykły dar wymowy i wykładu jasnego.

Nie wielu ludzi tak pracować umiało. Nauczając innych, pisał Sorel dzieła zdumiewające erudycyą, logiką dedukcyi, oparte na dokładnych badaniach, że wyliczymy tylko: „Europa i rewolucya" (8 tomów), za które otrzymał nagrodę Ozirisa w sumie 100 tysięcy franków; „Historya dyplomatyczna wojny francusko-niemieckiej" „Kwestya wschodnia w w. XVIII"; „Pani de Stael"; „Bonaparte i Hoche w roku 1797". W roku 1877 ukazało się dzieło Sorela o podziale Polski.

Za główną pracę życia swego uważał Sorel dzieło o rewolucyi francuskiej, którego tom pierwszy ukazał się w roku 1885, a uważał je też za dopełnienie dzieła o rewolucyi mistrza swego, Hipolita Tainea. Skoro wyszedł tom pierwszy, zwrócił uwagę kół naukowych nie tylko Francyi, ale i zagranicy. Nową i zupełnie słuszną była myśl przewodnika Sorela, że polityka zagraniczna Francyi za czasów rewolucyi pozostała w gruncie taką samą, jaką była za monarchii i że w państwach sąsiednich pewna nieufność i zawiść, którą żywiły dla Francyi Ludwika XIV oraz jego następców, wzmogła się tylko i sprawiła, że złączyły się w różne koalicye przeciw republice, a następnie przeciw Napoleonowi. Podobnie jak Taine i Sorel odbywał studya w archiwach nie tylko w Paryżu, ale też w Berlinie i w Wiedniu.

Wzbogacił Sorel i literaturę beletrystyczną — napisał kilka powieści, a z tych: „La grande falaise" i „Doktór Egra", miały duże powodzenie. Urodził się 13 sierpnia 1842 roku w Honfleur. Ojczyzna nie szczędziła mu zaszczytów — był członkiem Akademii Francuskiej, zasiadał w gronie „nieśmiertelnych", a nadto był członkiem Akademii Nauk moralnych i politycznych.

Zwłoki znakomitego historyka złożone zostały na cmentarzu Monparnasse.

Pożar
kościoła św. Michała w Hamburgu

w dniu 3-go b. m. należy do katastrof niezwykłych w swych rozmiarach. Wspaniały kościół z potężną wieżą przedstawia dziś tylko kupę gruzów, a dokoła niego leży 20 domów w gruzach.

Przyczyną pożaru były roboty ślu-

sarskie w wieży. Przy lutowaniu płyt miedzianych jedna z tychże rozpaliła się i od niej zapaliła się podłoga. Zanim strażnik zdecydował się o tem uwiadomić straż pożarną, już z wieży wystrzelił potężny słup ognia, który zaczął się szerzyć z przerażającą szybkością. Całe belkowanie wieży spaliło się w przeciągu krótkiego czasu, a

Szkody, jakie pożar wyrządził, są olbrzymie, ale na razie trudno je obliczyć. Gmach sam nie był zabezpieczony, tylko urządzenie jego na sumę 150 tysięcy marek.

Kościół św. Michała należał do gminy ewangielickiej i wybudowany został w 1752 roku w miejsce spalonego od pioruna kościoła.



Pożar kościoła św. Michała w Hamburgu dnia 3-go b. m.

metalowe słupy nie zdołały utrzymać ciężaru kopuły, która się zapadła druzgocąc wszystko, co się w pobliżu znajdowało.

Płonące głownie odrywały się i spadały na pobliskie domy i w ten sposób cała ulica Englisch Planke stała się pastwą płomieni. Wysiłki straży ogniowej były daremne, bo promienie wody nie sięgały siedliska ognia. Ratowano naprędce co się dało i wyniesiono z płonącego już gmachu archiwa i część kosztownych sreber.

Z ludzi stracił życie jedynie wartownik Benerle, który 30 lat z rzędu pełnił służbę na szczycie wieży. Gdy pożar wybuchł, zatelefonował jeszcze o tem straży ogniowej i próbował zejść, ale 3 piętra niżej zaskoczyła go śmierć, podczas gdy cała wieża miała 16 pięter. Widziano go jeszcze, jak z okna wieży spoglądał w stronę swego mieszkania. Rzemieślnicy, którzy byli w wieży zatrudnieni, zdołali na czas wycofać się z płomieni. Odniosło także rany 30 strażaków, z tych 2 ciężkie.

Dopiero w nocy zdołano pożar ograniczyć, ale tymczasem już spaliło się 12 domów zupełnie, a 20 częściowo. Straty poniósł także nasz rodak pan Kaniewski, który miał obok kościoła skład obuwia.

Żałoba w Hamburgu jest ogólna z powodu spalenia jednego z najwspanialszych gmachów, ale także z powodu klęski, która setki rodzin dotknęła.

Walne zebranie

Towarzystwa Organistów pod opieką św. Wojciecha zagaił w *Inowrocławiu* dnia 3-go lipca 1906 roku pan Piotr Surzyński staropolskiem pozdrowieniem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Po przeczytaniu porządku obrad, wybrano przewodniczącym p. Surzyńskiego, zastępcą p .Mełkę, sekretarzem p. Sauera i ławnikami pp. Zalisza i Fenikowskiego. Po ukonstytuowaniu biura odczytał p. Pluta protokół, który bez poprawki przyjęto. — Na członka przyjęto p. Bąka z Lisewa. Sprawozdanie z odbytego Walnego zebrania Związku Tow. organistowskich w Poznaniu dnia 22 lutego 1906 roku zdał p. Pluta. Odczyt ks. prob. Kleina musiał wypaść z powodu nagłego wyjazdu księdza na misyą do Witaszyc. Śpiew z kancyonału „Haec est dies" i „O sacrum convivium" pięknie wykonano. W trakcie Walnego zebrania przybył ks. dziekan Noga, który w dłuższem przemówieniu kładł nacisk na to, aby organiści udali się do Najprzewielebniejszego ks. Arcybiskupa, aby tenże dochody organistowskie uregulował. Komisyę czyli ankietę wybrać w tym celu — załatwienia odnośnej sprawy i podwyższyć dochody stałe i poboczne. Za deklamacyą p. t. „Cześć pieśni polskiej" i pięknie opracowany odczyt „O śpiewie ludowym w kościele" wygłoszony przez p. Plutę, podziękowali obecni przez powstanie z miejsc. Po odczycie wywiązała się ożywiona dyskusya. W myśl odczytu i zdania członków obecnych powzięto następującą rezolucyą: Zarządowi Związku Towarzystw organistowskich w Poznaniu przedkładamy do łaskawego zbadania i użytku następujący wniosek (rezolucyą), dotyczący naprawy śpiewu kościelnego:

Ponieważ wielu nie umie śpiewać i do gry organowej się nie stosuje, nie mając sposobności uczenia się śpiewu, — przeto śpiew ludowy coraz bardziej zanika, poleca się więc WW. Ks. Ks. i pp. organistom zakładanie Towarzystw lub Kół śpiewackich, aby po gruntownem nauczeniu się oryginalnej melodyi — reformy śpiewu — gdzie będzie możliwe, zaprowadzano. Odnośni dyrygenci śpiewu powinni z kas kościelnych, albo z innych funduszów odbierać stósowne wynagrodzenie".

Następnie kooptowano p. Zalisza na sekretarza towarzystwa naszego. Pod numerem 8-mym porządku obrad zakomunikował p. przewodniczący, że członek honorowy naszego towarzystwa ks. prob. i radzca Laubitz w Inowrocławiu otrzymał od Władzy Wyższej tytuł szambelana papieskiego. — Zebrani usłyszawszy tę wesołą nowinę, wysłali ks. szambelanowi stósowne powinszowanie. Panu Mełce wykrzyknięto potrójne „Niech żyje" z powodu jego 25-letniego jubileuszu urzędowania. Pod numerem wnioski członków, podał p. Pluta następującą przez Walne Zebranie przyjętą i p. Mełce do przedłożenia Zarządowi Związku oddaną reformę Towarzystw organistowskich: 1) napisać równo brzmiące ustawy dla każdego towarzystwa z paragrafami dwóch walnych zebrań 1 Związku, 1 Zarządu w roku z kasą dekanalną wsparcia resp. pogrzebu. 2) znieść kasę pogrzebową związkową, a natomiast urządzić dekanalną kasę pogrzebową i składki zniżyć na 20 do 30 fenygów.

W dowód zasług około dobra towarzystwa naszego podziękowali obecni ks. dziekanowi Nodze, pp. Surzyńskiemu i Plucie potężnym okrzykiem „Niech żyją".

Po wyczerpaniu porządku obrad zachęcał przewodniczący w dłuższem przemówieniu do gorliwszej pracy i

wytrwałości oraz do liczniejszego zgromadzenia się na posiedzenie w listopadzie r. b. i Walne Zebranie solwował.

Bydgoszcz, dnia 5 lipca 1906.

Grzegórz Sauer,
sekretarz Walnego Zebrania.

Nasza ofiarność.

Weteranów z 1863 roku przypominamy ofiarności Czytelników, gdyż szczupłe dotąd na ten cel zebrane fundusze już się zupełnie wyczerpały, a biedni, sparaliżowani, schorzali weterani, cierpiący głód i niedostatek, opuszczeni przez wszystkich, wciąż błagają nas o pomoc materyalną choćby drobną. Przed tygodniem wysłaliśmy do Krakowa sparaliżowanego weterana Poznańczyka M., gdyż tutaj w Poznaniu byłby niechybnie śmierć poniósł z głodu i wycieńczenia.

Prosimy na cel powyższy o liczne datki w myśl zasady „Podwójnie daje, kto spiesznie daje".

* * *

Na Czytelnie ludowe p. W. Bratkowski z Dülken 1 mrk 50 fen.

Na Macierz szkolną w Królestwie p. N. N. z Poznania 1 mrk. 17 fen.

* * *

Z Wieszczyczyna nadesłał nam ks. *Walenty Nowicki* spis osób, które w dalszym ciągu złożyły na jego ręce *ofiary na odbudowanie kościoła w Wieszczyczynie*. Spisu tego, zamieszczonego w codziennych gazetach, dla braku miejsca ogłosić nie możemy.

Ks. Nowicki składa wspaniałomyślnym ofiarodawcom w imieniu swojem i parafian szczere podziękowanie.

Nekrologia.

† Ś. p. *ks. Stanisław Zingler*, proboszcz żytowiecki i senior dekanatu krobskiego, umarł dnia 2-go b. m. w Wrocławiu w zakładzie św. Józefa w 74-ym roku życia. Pogrzeb odbył się w Żytowiecku dnia 7-go b. m. R. i p.

† Ś. p. *Wacław Talarowski*, dnia 2-go b. m. w Poznaniu w 30-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Maksymilian Palacz*, dnia 4-go b. m. w Poznaniu — Jeżycach — w 39-ym roku życia. R. i p.

† Ś. p. *Franciszka Ksawera z Kleszczyńskich Luzińska*, żona właściciela hotelu francuskiego p. Teodora Luzińskiego, dnia 5-go b. m. w Poznaniu. R. i p.

† S. p. *Cecylia Dyzman z domu Guć*, dnia 5-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 30. R. i p.

† Ś. p. *Nikodem Rogaliński*, nauczyciel emerytowany, dnia 6-go b. m. w Poznaniu. R. i p.

† Ś. p. *Julian Okoniewski*, dnia 6-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 30. R. i p.

† Ś. p. *Albin Kacki*, dnia 6-go b. m. w Neuenahr (Nadrenia). R. i p.

Wiadomości literackie i artystyczne.

— Mamy przed sobą nowe a bardzo nietylko na czasie, ale i pożyteczne dziełko pod tytułem „Niemowlę". Rady i wskazówki dla młodych matek jak chować niemowlę, by je uchronić od chorób, kalectw i śmierci. Popularnie skreślił dr. Bronisław Świderski w Lesznie. Główny skład w księgarni nakładowej J. B. Lange w Gnieźnie. Cena 90 fen. z przesyłką 1 mk. Jestto tak niska cena ze względu na pożyteczność tegoż dziełka, że powinno się znajdować w każdym domu młodego małżeństwa.

Treść pism.

— **„Sokół"**, organ związku Sokołów polskich w państwie niemieckiem, wychodzący w Poznaniu 1-go każdego miesiąca — nr. 7. na lipiec:
II-gi Zlot wspólny Okręgów VII i X w Winterswijk w Holandyi. — Sprawozdanie ze Zlotu Okręgu IX-go w Winterswijk w Holandyi. — Wynik zawodów gniazd i jednostek okręgu IX-go w popisach Zlotowych w Winterswijk. — Arcyciekawy proces. — Praktyczne rady. — Jak policya poznańska... — Korespondencye. — Myśli ulotne. — Sprawy okręgowe. — Nekrologia. — Sprawy Tow. sokolich za granicą. — Od Redakcyi. — Sprawy bieżące. — Ogłoszenia.

— **„Przemysłowiec"** — tygodnik dla rzemiosła, przemysłu i handlu, organ Związku Towarzystw przemysłowych, wychodzący w Poznaniu — nr. 27: W ważnej sprawie. Związek rzemieślników w Badenii. — O poszczególnych zawodach rzemieślniczych. (Ciąg dalszy). — Terminatorzy w Szwajcaryi i Belgii. — Jarmark krajowy we Lwowie. — Najważniejsze przepisy prawa wekslowego. — Wystawa w Kościanie. — Wyrazy obce. — Kronika.

— **„Ziarno"**, pismo tygodniowe illustrowane, wychodzące w Warszawie — nr. 26: Z daleka i z bliska. — Stefan Czarniecki. — Po starożytnem Mazowszu. — Macierz szkolna. — Śmierć generała Sowińskiego. — Krwawe ręce. — Narzędzia zniszczenia. — Com widział i czuł w Finlandyi. — Wrogowie samochodów. — Rozmaitości. — Łamigłówka. — Illustracye.

— **„Przewodnik Kółek rolniczych"** — dwutygodnik, wychodzący nakładem zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie dnia 1 i 15 każdego miesiąca — nr. 13: Nowinkarstwo chłopskie w rolnictwie. — Wyrób masła w domu, czy mleczarnia spółkowa? Nawóz z powietrza. — Rzepa ścierniskowa. — Czy opłaci się małemu rolnikowi siewnik rzędowy? — Truskawki i poziomki. — Pamiętajcie. — Sprawy Towarzystwa. — Wiadomości. — Odsłonięcie pomnika Bartosza Głowackiego we Lwowie. — Kronika i informacye. — Ogłoszenia.

— **„Swiat kobiecy"** — tygodnik poświęcony wszelkim gałęziom pracy kobiecej, literaturze, sztuce i gospodarstwu, wychodzi w każdą sobotę w Warszawie — nr. 23: Zjazd ochroniarek. — W ochronce. — Wystawa robót dzieci w ochronkach wiejskich. — Z tygodnia. — Książki i wydawnictwa. — Dział informacyjny. — Ogłoszenia. — Dodatek: Rośliny aptekarskie.

Dział szaradowy.

Zadanie krzyżowe.

	H				a	
H	a	a	a	a	a	a
	a	m	m	b	b	
	u	u	r	r	g	
	g	g	g	ł	w	
w	n	n	t	y	y	a
	n				g	

W zamieszczonej figurze litery przestawić tak, aby utworzyły 5 wyrazów czytanych jednakowo w kierunku pionowym i poziomym.

Znaczenie wyrazów:

1) Miasto w Prusach.
2) Miasto w gubernii Płockiej w Królestwie Polskiem.
3) Owoc.
4) Baczność.
5) Kamienie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 21-go lipca.

Rozwiązanie logogryfu z nr. 24 go.

1) **O**rna**t**
2) **J**estestw**o**
3) **C**zaba**n**
4) **Z**asad**a**
5) **E**klezjaste**s**
6) **N**ietoper**z**
7) **A**lapi**c**
8) **S**łow**o**
9) **Z**en**d**
10) **J**ubileus**z**
11) **Z**acofan**i**
12) **D**erkacz**e**
13) **R**e**n**
14) **O**rego**n**
15) **W**awrzyn**y**
16) **A**le**p**
17) **S**więt**a**
18) **M**yszynie**c**
19) **A**kolic**i**
20) **R**zymiani**e**
21) **J**assy**r**
22) **A**madeus**z**

Ojcze nasz i Zdrowaś Marja,
To nasz codzienny pacierz.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Ignacy Lewandowski z Berlina, Hipolit Wodecki z Ropczyc Gal. i Stan. Malicki z Słembowa.

Nagrodę otrzymał p. Stan. Malicki z Słembowa.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Zasada łączności.

Nasze starosłowiańskie przysłowie powiada, że gromada to wielki człowiek; zrozumiano więc u nas dość wcześnie, że trzeba się łączyć, aby sobie nieść pomoc. Ten zmysł łączności objawia się w różnych przedsiębiorstwach kooperacyjnych u narodów ucywilizowanych, jak np. Anglików, gdzie kooperacyą czyli działaniem wespół całych towarzystw zdziałano bardzo dużo. W dzisiejszych stosunkach świat dzieli się na przedsiębiorców, mających kolosalne kapitały i na spożywców. Kapitalista umie wyzyskiwać pracę rzemieślników i uczynić ich podwładnemi sobie, dlatego rzemieślnicy powinni szukać w zbiorowych przedsiębiorstwach ochrony i interesować się tem, czego nauki socyalne uczą.

W obliczu olbrzymich związków przedsiębiorców, które powstają wszędzie i dążą do tego, aby stać się normalną instytucyą gospodarczą, pozostaje jedno tylko: przedstawić im jeszcze potężniejsze związki spożywców. Trzeba jednak opracować plan kampanii, a raczej jest to zbyteczne, bo postępowanie jest wytknięte żywiołowo. — Łączyć się nazwajem i tworzyć gromady, o ile można starać się o zyski, wyłonić wielkie magazyny zakupów hurtownych — oto pierwsza faza. Zgromadzić wielkie kapitały i jąć się bezpośredniej produkcyi na własny rachunek tego wszystkiego, co jest potrzebne, a zatem wypieku chleba ,mielenia mąki, wyrobu tkanin i ubiorów i t. d., taki jest drugi szczebel. Wreszcie w dalszej przyszłości trzeba nabywać ziemię i folwarki, wytwarzać zboże, oliwę, wino, mięso i t. d. — oto trzecia faza.

A stanie się to wszystko za sprawą drobnych wkładów uczestników, zysków ich na zakupach, które pozostawią oni w stowarzyszeniach, wreszcie dzięki związkom stowarzyszeń.

Wszystkie narzędzia pracy, całe gospodarstwo rolne, koleje i okręty — staną się wspólną własnością klas pracujących.

Prywatni przedsiębiorcy, kupcy, całe falangi pośredników, stracą wszelaką racyę bytu, i, jak zakończył jeden ze swych artykułów Juliusz Lemaitre — socyalizm stanie się niepotrzebnym! Na poparcie swego twierdzenia kooperatyści przytaczają cyfry, wskazujące dotychczasowe swe zdobycze.

Z dumą przytaczają, że w Anglii w roku 1900 istniały 1634 stowarzyszenia współdzielcze, wydające roczne sprawozdania, w tej liczbie 1464 spożywcze.

Członków stowarzyszeń było 1 827 653, udziały ich przedstawiały wartość — 23 103 729 f. szt. Ze sprzedaży towarów otrzymano — 77 276 858 f. szt., czysty zysk wynosił 8 573 800 f. szt. Zatrudnionych osób w stowarzyszeniach spożywczych było 45 648, w stowarzyszeniach wytwórczych — 37 403 osoby.

Liczby te tak imponują kooperatystom, że na kongresie w Perth (Szkocya) w roku 1897, Greening z Londynu stawia takie horoskopy:

„Gdyby wszyscy robotnicy Zjednoczonego Królestwa należeli do stowarzyszeń współdzielczych, w ciągu pięciu lat bylibyśmy w stanie pokryć cały dług narodowy, w ciągu dwudziest. — zakupić wszystkie koleje, a w ciągu trzydziestu — ziemię i to, co się na niej znajduje.

Przyszłość obiecuje nam rezultaty jeszcze bardziej zdumiewające‘‘.

Kooperacya zapomocą stowarzyszeń spożywczych ma doprowadzić do rozwiązania wszystkich zagadnień naszej epoki, a więc, zniesienia pracy najemnej, a w każdym razie podwyższenia pracy, podniesienia oświaty, emancypacyi kobiet, pokoju międzynarodowego i t. d.

A. D. Bancel w czternastu paragrafach wyłuszcza dobrodziejstwa kooperacyi bliższe i dalsze. Ona oto 1) pozwala bez trudności robić oszczędności; 2) uznaje tylko zapłatę gotowizną; 3) może zapewnić pomoc w razie bezrobocia, choroby lub śmierci w rodzinie; 4) może wpłynąć na podniesienie płacy roboczej; 5) oszczędza siły robotnika; 6) ustanawia ceny racyonalne; 7) może zwalczać fałszowanie artykułów spożywczych; 8) może uprościć podział bogactw; 9) przeprowadzi organizacyę pracy; 10) skróci czas roboczy; 11) zniesie konkurencyę, reklamę, myśl o zysku osobistym; 12) stworzy wspólną własność; 13) usunie starcia wewnętrzne i międzynarodowe; 14) zbudzi wśród społeczeństwa uczucia wzajemnej miłości.

Jak widzimy więc, szeroki ideał kooperatystów ma za zadanie całkowitą reformę socyalną, wiąże się zatem ściśle z zadaniem klasy roboczej, jedynie powołanej do przeprowadzenia tej reformy.

Główna akcya kooperatystów całego świata skierowana jest w stronę warstw pracujących.

Gide w swoich mowach agitacyjnych określa stowarzyszenia spożywcze, jako „Stowarzyszenia robotników, dążących do wspólnej pracy nad swojem wyzwoleniem i do wytworzenia kapitału koniecznego w tym celu, za pomocą środków najmniej uciążliwych i najbardziej skutecznych.‘‘

Pogląd taki na stowarzyszenia spożywcze ma jednak wielu przeciwników.

W pierwszym ich rzędzie stoją drobni handlarze, którym stowarzyszenia te robią poważną konkurencyę, oraz obrońcy drobnego mieszczaństwa, którzy w niem widzą pewnego rodzaju zabezpieczenie przeciwko krańcowym dążnościom reformatorskim partyi robotniczych.

Ważniejszego jednak przeciwnika mają stowarzyszenia spożywcze w socyalnej demokracyi. Niektóre zarzuty jej sformułować można w sposób następujący:

Przemysł rozwija się stale w kierunku wielkiej produkcyi, robotnicy zaś mogą zakładać niewielkie fabryczki, których epoka już minęła.

Oszczędności, osiągane przez robotników są zbyt małe.

Obniżenie kosztów utrzymania, w moc prawa żelaznego płacy robotniczej, wpłynie na zmniejszenie zarobków. (Argument, którym walczył Lassalle z Schultze-Delitzsch‘em).

Stowarzyszenia spożywcze mogą stworzyć wśród robotników jak największą ilość drobnych mieszczan.

Zapatrywania takie nie przeszkadzają socyalnej demokracyi w niektórych krajach organizować stowarzyszeń spożywczych, jako fazy przejściowej, ułatwiającej osiągnięcie jej celów (np. w Belgii).

Nie będę poddawał tutaj krytyce tych poglądów krańcowych; wartość ich z tego, com wyżej powiedział, jest aż nadto widoczna.

Stowarzyszenia spożywcze bezwątpienia same przez się nie rozwiążą kwestyi socyalnej, ani też nie zatamują naturalnego jej rozwoju, idącego w ściśle określonym kierunku, atoli w każdym razie zasługują na poparcie.

„Przemysłowiec.‘‘

DZIAŁ KOBIECY.

Nadzieja szczęścia.

Mieszkanie na słonecznej stronie życia bardzo jest piękne, można w całej pełni używać wszystkiego — wesołości, swobody, piękna — wszystkiego, co nam świat daje! Nie ma tam chmur zaciemniających nam jasność, i są rzeczywiście ludzie, którzy posiadają talent rzucenia się w otwarte ramiona takiej świetnej, czarownej egzystencyi. Piją zawsze z pełnej czary rozkoszy, zrywają zawsze świeże, wonne kwiaty i nie lękają się niczego. Znoszą nawet łatwo całe szeregi pogodnych dni, a przecież pewien poeta niemiecki rzekł, że „wszystko można w świecie znieść, tylko nie szereg pięknych dni".

Szczęśliwe są takie dzieci szczęścia, ale nie często je się spotyka.

Większa część ludzi mieszka na ciemnej stronie życia, ale kto tam mieszka, ten nie potrzebuje być już nieczułym na światło. Każda prawie roślina zwraca się ku słońcu, i w sercu każdego człowieka drzemie gorąca tęsknota za szczęściem. Tęsknota ta, pragnienie szczęścia zwiększa się w miarę cierpień, jakie znosić musimy, a u niektórych wzmaga się tak, że chętnie oddaliby życie za jednę chwilę szczęścia.

W rozmaitych postaciach ukazuje się szczęście. Czasem wabi nas z daleka — dążymy ku niemu z całej siły, a gdy myślimy, że już je trzymamy, znika jak Fata morgana i ukazuje się w innym zupełnie kierunku. I w końcu znika na zawsze, jak spadająca gwiazda. Smutni, zniechęceni wracamy z tej pogoni, aby wnet biedz znowu za jakiemś złudzeniem, które nęci nas ku sobie i zwodzi, jak błędny ognik. Albo też, gdy osiągniemy to, czegośmy tak gorąco pragnęli, przekonujemy się, że nie było czego tak bardzo pragnąć i że posiadanie tego, co uważaliśmy za największe szczęście, wcale nas nie zadowalnia. Baśń o szczęściu niejednego już oszukała i gorzki mu zawód sprawiła!

A jednak serce nie wyrzeka się nigdy nadziei szczęścia. Pomimo wszelkich zawodów spodziewa się zawsze jeszcze jakiejś chwili jasnej, jakiegoś szczęścia lepszego, prawdziwego. Spodziewa się zawsze, że nadejdzie godzina, której jak ongi Faust, będzie mogło powiedzieć: „zatrzymaj się". Ale nadzieja ta nie zawsze się spełnia — świat nie jest „wyspą szczęśliwych." Trwałe szczęście rzadko komu dostaje się w udziale. W pogoni za szczęściem staje się człowiek starcem, nadzieja wiecznym utrzymuje go młodzieńcem! Nierozsądne serce nie chce się pozbyć marzeń i ma nadzieję, z dnia na dzień, że czego mu wiosna życia nie dała, to nie da mu jesień.

Nieustanne spodziewanie się i oczekiwanie szczęścia niejeden ból w sobie ukrywa, mianowicie, gdy włosy bielić się poczynają, a serce zestarzeć się nie chce i bije zawsze jeszcze tak silnie, jak w dniach młodości. Powinniśmy już wyrzec się wszelkich pragnień, a nie potrafimy tego! Bo serce zawsze jeszcze ma nadzieję szczęścia!

Ale z drugiej strony zawierają te nieustanne pragnienia i nadzieje dużo pociechy. Nadzieja jest siłą i podstawą naszego istnienia, wskazuje nam zawsze nowe ideały i chroni nas przed zwątpieniem. A jeżeli się nadzieje nasze nie spełniają — no, to wiara w nie też już była szczęściem!

Empa.

Kaprysy mody.

Wobec powodzenia, jakiem cieszą się obecnie rękawy krótkie — wróciła moda noszenia długich rękawiczek duńskich, przeważnie jasnych; białe są mniej używane, gdyż wymagają małej, drobnej i wąskiej rączki. Wyjątek stanowią duże zebrania wieczorowe, na które idąc kładziemy rękawiczki białe, glansowane.

Do sukien lekkich np. z linon, nansuku, muślinu jedwabnego — najodpowiedniejsze są długie mitynki lub rękawiczki z cienkiego kordonku jedwabnego.

Krótkie rękawiczki pociągają również za sobą i noszenie bransolet, które przez czas dłuższy leżały przechowane w kasetkach. Obecnie każda może być noszona, gdyż wszystkie są modne, od najskromniejszych aż do złotych, bogato inkrustowanych. Najmodniejsze są jednak obrączki ze starego złota, zupełnie gładkie.

Stosownie do rodzaju bransolet dobiera się klamry pasków. Dużem zastosowaniem cieszą się klamry gładkie, lub też zrobione z kółek złączonych, lekko cyzelowane.

Parasolki w tym sezonie — pierwszeństwo mają jasne, a między niemi koronkowe, śliczne i lekkie, jak obłoczki wiosenne. Duży nacisk kładzie teraz moda na bogate wykończenie rączek przy parasolkach. Wyszukiwane są rączki stare, między któremi trafia się niekiedy na okazy prawdziwie artystycznej roboty. Ładne i bardzo noszone są też rączki z jasnego i ciemnego szyldkretu.

Wogóle moda obecna lubuje się w rzeczach błyskotliwych, drogich, opracowanych kunsztownie, co można także zauważyć między fasonami sukien, które od pewnego czasu mało przynoszą zmian zasadniczych, mało pomysłów nowych, a z każdą chwilą prawie, zwiększają moc drobniutkich zakładek, wymarszczeń, wstaweczek, tak, że krawcowe nasze muszą jednocześnie posiadać kwalifikacyę bieliźniarek i hafciarek.

Bardzo oryginalnie, wprost koprysznie obeszła się moda piórami, które niedawno jeszcze noszono duże, puszyste, mocno zafryzowane — a teraz, o ile kto zachował je przy kapeluszu — powinny być specyalnie *odfryzowane*, prawie gładkie.

Szkoda wielka, że do odfryzowania takiego nie wystarczy samo wystawienie kapelusza na deszcz, co by niezmiernie pożądane ze względu na koszt mały. Pióro musi być odfryzowane bardzo starannie z zachowaniem całej puszystości.

Dziwny pomysł, mniej ładny, lecz oryginalny. Ciekawe — jakie jeszcze niespodzianki moda nam przyniesie.

„D. G."

Z ruchu kobiecego.

„Pomoc przemysłowa kobiet" we Lwowie odbyła 23-go czerwca b. r. walne zgromadzenie, na którem poruszono wiele myśli tyczących się rozszerzenia działalności kobiet na niezorganizowane dotychczas działy wytworczości kobiet. Takiem działem jest koronkarstwo, zatrudniające olbrzymią ilość pracownic. Nie rozwija się ono jednak, jakby należało i daje małe zyski z braku centralizacyi w nabywaniu materyałów i szukaniu nowych dróg zbytu. Podniesiono więc potrzebę zorganizowania koronkarstwa na wzór zorganizowanego przez stowarzyszenie działu guzikarskiego, polecono nowemu zarządowi zajęcie się tą sprawą i aby w porozumieniu z radą szkolną krajową zainicyował dla nauczycielek, a szczególnie wiejskich, kurs nauki koronek klockowych prostych i tanich, by później wprowadzić naukę tych koronek w program nauk szkolnych. Myśl bardzo rozsądna i zacna.

ROZMAITOŚCI.

Peryodyczność deszczu. Przepowiadanie stanu pogody na dłuższy przeciąg czasu jest jeszcze rzeczą niemożliwą do urzeczywistnienia. Nic więc dziwnego, że badacze, rozumiejąc, jak wielkie znaczenie dla meteorologii ogólnej, a w szczególności dla rolnictwa, miałoby przewidywanie, czy dany rok będzie suchy lub mokry, starają się wynaleść jakiś związek pomiędzy pewnemi zjawiskami niebieskiemi, powtarzającemi się peryodycznie, t. j. w równie po sobie następujących okresach czasu, a ogólną ilością wody, spadłej w ciągu roku w postaci deszczu i śniegu.

Meteorolog Edw. Brückner zwrócił oddawna uwagę, że okresy deszczu i suszy następują po sobie w okresach 35 letnich. Badania te oparł na spostrzeżeniach, zrobionych w 321 punktach na kuli ziemskiej i to przeważnie na północnej półkuli, a to z tego względu, że należało brać pod uwagę jedynie te miejscowości, w których spostrzeżenia były robione w ciągu dłuższego czasu.

Rozpatrując zebrany materyał naukowy, Brückner wykrył, że w ciągu zeszłego stulecia średnie lat wilgotnych przypadały na lata: 1815, 1846—1850, 1876—1880; średnie lat suchych na 1831—1835 i 1861—1865. Późniejsze badania prof. Hanna, był. dyr. wiedeńskiego Instytutu meteorologicznego, stwierdziły peryodyczność lat suchych i mokrych co 35 lat, przyczem środki okresów lat mokrych przypadały w latach 1808, 1843 i 1878, a suchych w latach 1823, 1859 i 1893.

Dalsze spostrzeżenia meteorologiczne wykażą, czy wspomniana wyżej peryodyczność bywa stałą, czy też przypadkową.

W celu wyjaśnienia przyczyn tej peryodyczności zwrócono się do wyników obserwacyi słońca nad plamami, wyskokami, koroną i t. d. Na plamy została zwrócona uwaga, odkąd zaznaczono związek pomiędzy zjawieniem się plam na słońcu a chmur pierzastych, które, jak wiadomo, zwiastują opady atmosferyczne.

Zarzucona oddawna kwestya peryodyczności lat suchych i mokrych jest znów przedmiotem rozpraw naukowych, a związek tej peryodyczności ze zjawiskami na słońcu staje się coraz widoczniejszy, chociaż ostatecznie nie jest stwierdzony.

* * *

Sześćdziesiąt tysięcy opuszczonych żon. Policyjne władze nowo-jorskie poszukują skwapliwie miejsca pobytu... 60.000 małżonków, którzy na pastwę losu porzucili swe żony. Znaczy to, że oprócz kobiet pozostało bez opieki przynajmniej ze 100.000 dzieci, ojcowie których w pogoni za wolnością zapomnieli zupełnie o naturalnych obowiązkach względem swego potomstwa. W ten sposób ilość opuszczonych dosięga olbrzymiej cyfry 160.000 osób, a co gorsza, że ilość ta wzrasta z każdym rokiem, bo wypadki podobne mnożą się niepomiernie i samo zjawisko przybiera rozmiary tak groźne, że zaczyna niepokoić poważne koła obywateli.

Jeden z najbardziej znanych sędziów nowo-jorskich wyraźnie zaznacza, iż miasto ma do rozwiązania bardzo trudne zadanie, a duchowni wszelkich wyznań i kierunków jednogłośnie stwierdzają tę dziką pozbawioną wszelkich uczuć ludzkich obojętność, z jaką mężowie traktują swe żony. Zdarza się wprawdzie niekiedy, że i żona opuszcza niekiedy swego męża, ale wypadek to nader rzadki i stanowi on zaledwie 1 proc. w ogólnej sumie zjawisk tego rodzaju. Znamiennym wysoce objawem jest to, iż niemal zawsze mąż opuszczający swą żonę, pozostawia także na pastwę losu dwoje lub troje dzieci. Kobiety bezdzietne są o wiele pod tym względem szczęśliwsze i w rzadkich tylko wypadkach ulegają losowi dzietnych swych koleżanek: stanowi to dowód niezbity, że właśnie troska o byt i utrzymanie licznej rodziny bywa zwykle głównym powodem do porzucenia domowego ogniska.

Pewien sędzia nowo-jorski wypowiedział otwarcie to przekonanie, że tylko bat mógłby w tym razie złemu stanowczo zaradzić, i był tego zdania, że na wiarołomnych małżonków należałoby kary cielesne nakładać. Inni sędziowie, tudzież duchowni, oraz władze policyjne, które pozostają w bliskiej styczności z ludnością ubogich dzielnic nowo-jorskich, przychylają się również do wniosku, że istniejące obecnie prawa wystarczyć tu bynajmniej nie mogą i że należałoby zmienić je w sposób radykalny. Zło wzrasta zbyt szybko i przybiera zbyt przerażające rozmiary, aby je można było lekceważyć. Przepisy obowiązujące obecnie w Stanach Zjednoczonych, są dla złoczyńców stanowczo za łagodne. W Nowym Jorku zaledwie setki uciekinierów, którzy porzucili swe żony, pamiętają o tem, aby dawnym towarzyszkom swego życia nieść jakąkolwiek pomoc materyalną. I będzie to trwało tak długo, dopóki groźba więzienia nie zawiśnie nad głowami zbrodniarzy i dopóki nie zostanie wydane prawo, na mocy którego ten uciekinier, który nie chce płacić alimentów swej żonie, będzie nieodwołalnie zamknięty pod kluczem.

* * *

Bank otwarty cały dzień i całą noc istnieje — rozumie się — w Ameryce w Nowym Jorku. Powstał niedawno, gdyż biura jego otwarto świeżo dla publiczności o godz. 6-tej wieczorem, to jest w czasie, gdy wszystkie inne instytucye finansowe są pozamykane. Gmach budynku położony w najdystyngowańszej dzielnicy miasta należy do skromniejszych amerykańskich „drapaczy nieba'', gdyż wysokość jego sięga zaledwie 12 piętr i leży wśród hoteli, restauracyi i teatrów zwiedzanych przez najbogatszą publiczność. To zapewnia mu liczną i dobrą klientelę. Ruch banku był w pierwszy dzień olbrzymi, najważniejszy dział stanowią depozyty, których wartość w dniu otwarcia w przeciągu pierwszych 6 godzin doszła do kwoty 5 milionów marek. Prócz składających depozyty zwiedzało bank w pierwszy dzień tysiące ciekawych, — bank był senzacyą dnia nawet dla Amerykanów, przywykłych do wielu niespodzianek, które nam w Europie wydają się czasem aż nieprawdopodobnemi.

* * *

— *Pojedynek o garderobianę* odbył się na pistolety tymi dniami w Wilhelmshafen koło Wrocławia. Pojedynkującymi się byli oficer kawaleryi, pochodzący ze szlacheckiej rodziny, którego nazwisko jest trzymane w tajemnicy i pewien młody adwokat z Wrocławia. Przy drugiem spotkaniu oficer otrzymał ranę tak niebezpieczną, że niema nadziei uratowania go. Przyczyną pojedynku była sprzeczka o garderobianę jednego z teatrów w Wrocławiu.

Humorystyka.

Z zaboru rosyjskiego.

Najnowsze przepisy.

Język polski może być używany w Królestwie Polskiem:

w sądzie: do trzymania za zębami,

na kolejach: do rozmowy z samym sobą,

w szkołach: do pomocy przy śniadaniu,

na poczcie: do nalepiania marek.

w szpitalach miejskich: do pokazywania lekarzom.

w areszcie: do wyrwania przez inkwirenta.

w bufecie stacyjnym: do mlaskania,

przy posadach rządowych: do oblizywania się, a

wogóle: do milczenia.

* * *

Co lepsze?

Gdy gotówki dosyć w kasie
I rząd niezbyt cienko śpiewa,
Ze stron wszystkich w takim czasie
Płynie imię Ignatjewa.

Kiedy krucho jest z gotówką,
Skarby rządu nie obfite,
Wtedy ciągle słychać słówko:
Hrabia Witte! hrabia Witte!

Nie jest jednak nikt w rozpaczy,
Słysząc imię Ignatjewa,
Bo wie z góry, że to znaczy:
Grad nahajek, kul ulewa.

Lecz gdy mówi się o Wittem,
Każdy człek jest, jak w obłędzie,
Bo nie zdoła przeczuć sprytem,
Jakie znów szachrajstwo będzie.

* * *

Chuligan.

— Tatusiu, co to jest chuligan?

— To jest, jakby ci powiedzieć: ochotnik w służbie policyjnej.

— A czy taki chuligan ma jaką pensyę?

— Malutką; głównie żyje, tak jak policya, z tego, co własnym przemysłem zdobędzie.

* * *

Ruchy rolne.

— Czy w waszej okolicy, są ruchy rolne?

— A jakże. Od trzech tygodni sekwestrator odwiedza po kolei wszystkich obywateli za zaległe podatki.

* * *

W wagonie.

— Co tam u was w Warszawie słychać?

— Biją. A u was na prowincyi?

— Tłuką.

* * *

Podczas stanu wojennego.

— Co to?

— Synek naszej pani. Tylko co się narodził.

— A pozwolenie z cyrkułu na to było?

* * *

Uproszczona procedura.

— Czy do badania uwięzionych potrzebny jest spryt?

— Nie, panie, sękaty drąg.

* * *

Pan von Miller.

Pan von Miller w Białymstoku,
Upiwszy się jako Bela,
Dla odwagi pokazania
Do bezbronnych kobiet strzela.

Pan von Miller w Białymstoku
(Tacy armii nie uświetnią)
Ranił w chwili animuszu
Pannę siedemnastoletnią.

Pan von Miller w Białymstoku,
Który błysnąć chciał przed światem,
Kiedy strzela do podlotków,
Nie chorążym jest, lecz katem.

Pan von Miller w Białymstoku
Nie uczynił wbrew naturze,
Bo gorszego zwierza nie ma
Nad Prusaka w ruskiej skórze.

* * *

Mała różnica.

— Jaka jest różnica między projektami praw, redagowanemi w Dumie, a przez ministrów?

— Bardzo mała: wszystko w obydwóch projektach jest zupełnie identyczne, tylko to, co w prawach Dumy jest tak, u ministrów nie.

Z sonet kąpielowych.

Dawniej a dziś.

Dawno to bardzo było!... Przed dziesięciu laty,
Pierwszy raz z nią zwiedzałem wtenczas Zakopane,
Urocze okolice jeszcze nam nie znane:
Świnnicę, Żółtą turnię, Kościelec, Granaty.

Puszczaliśmy się razem w czarowne te światy,
Przez poetów chwalone i tak podziwiane;
Tam poznałem, co miłość!... Mam dotąd spisane
Z pamiętnej tej wycieczki, w mojem sercu daty.

Rozłączył nas los srogi!... Dziś tu niespodzianie
Spotkałem ją!... Któż przestrach mój opisać w stanie?
Przebóg!... Ona to?... Laura?... Której obraz noszę?...

Te zmarszczki?... ten głos gruby?... dzięki za rozkosze!
Dość mi Zakopanego!... Proszę, bardzo proszę...
Dość mi kąpiel, wycieczek: ja dziś się wynoszę.

Zawód hreczkosieja.

Jazda do kąpiel! wiwat!... pakuję manatki,
Muszę przecie odpocząć. Zabieram kucharza,
Bo kuchnia przedewszystkiem. Człek zresztą nie zważa,
Gdy chodzi o wygody, przecie na wydatki.

Trafiają się w kąpielach zbyt częste wypadki,
Że muszę gości przyjąć; a nieraz się zdarza,
Że zaprosić na karty trzeba dygnitarza:
Niech świat myśli, że u mnie zamożność, dostatki.

Lecz cóż to?... Ach nie jadę, gdyż pustki w szkatule,
Próżno chodzę po żydach i proszę ich czule —
Nie chce żaden pożyczyć, bo zbadał tabulę.

Płaczę na los!... ci żydzi zwiedli mię nikczemnie!
A ja się tak cieszyłem spoczynkiem daremnie —
Co za wstyd! własny kucharz już nawet drwi ze mnie.

Adam Barański.